Nr. 21. Warszawa, dnia 21 (9) Maja 1892 r. **Rok XII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

REFORMA TARYFY OSOBOWEJ.

Zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, że taryfa opłat za przejazd kolejami żelaznemi w państwie ruskiem ulegnie wkrótce zmianom i, co ważniejsza — zniżce. Pisma bowiem nie przestają jej podnosić i wykazywać, że koszty podróży kolejami w Rosyi są najdroższe. „W całej Europie zachodniej — powiadają *Birżewyja Wiedomosti* — nie można znaleźć wyższej taryfy, chociaż koszty eksploatacyjne są tam znacznie większe. W ruskiej nietylko stawki są same przez się wysokie, ale nie ulegają zmianom zależnie od warunków podróży. Czy ktoś przebywa 100, czy 1,000 wiorst — pozostają też same. Ta, że tak powiemy, nieruchomość taryfy stanowi najsłabszą jej stronę. Za granicą stawki również nie są bardzo małe, lecz zmniejszają się stopniowo dzięki zasadzie różniczkowej oraz t. zw. biletom powrotnym i kołowym. Te ulgi nie są znane kolejom ruskim. Prawda, istnieją w ciągu letnich miesięcy bilety kołowe z pewnem ustępstwem ceny, lecz korzystanie z nich jest zależne od tak uciążliwych warunków, że, właściwie mówiąc, nie zapewniają one żadnej dogodności praktycznej. Tymczasem jeśli gdzie, to w Rosyi taryfa różniczkowa może mieć najszersze zastosowanie. Wobec rozległych przestrzeni, dosięgających tysiąca wiorst, ten system taryfikacyi winien być uznany za najbardziej odpowiadający celowi. Stawki normalne mogłyby pozostać teraźniejsze, lecz konieczne jest ustosunkowanie ich do przebytej przestrzeni. Podobnie jest rzeczą niezbędną, aby zaprowadzone zostały bilety powrotne ze znacznem ustępstwem."

Powyższy głos dziennika petersburskiego kładzie główny nacisk na te punkty reformy, które mają ogólne znaczenie. Ale są inne, wynikające z potrzeb miejscowych i posiadające dla nich szczególną ważność. Ani jedna linia kolejowa w naszym kraju nie dosięga 500 wiorst. Gdyby więc stawki biletów osobowych zróżniczkowano według znaczniejszych odległości, zmiana ta nie przyniosłaby nam wielkiej korzyści. Pożądanem więc byłoby dla nas (a naturalnie i dla wszystkich okolic państwa), ażeby obniżka opłaty spadała w odstępach jak najmniejszych. Tu zachodzi jeszcze jedna kwestya, która w rozprawach o tym przedmiocie zwykle bywa pomijana, a która wymaga uwydatnienia. W obrachowywaniu porównawczem taryfy osobowej na kolejach tutejszych i zagranicznych ciągle brane są cyfry opłat między stacyami, skutkiem czego różnica wypada daleko mniejsza, niż jest rzeczywiście. Jak wiadomo, u nas między stacyami istnieją przystanki, na których pociągi są zatrzymywane i bilety sprzedawane, ale sprzedawane po cenach stacyj następnych. Tym sposobem przebywający wiorst 8 płaci za 16, czyli każdemu pasażerowi z przystanku doliczana jest należność za kawał dalszej drogi, której on wcale nie przejechał. Tak np. wszyscy jadący do Płudów lub Dębego, muszą płacić za odległość z Płudów do Jabłonny i z Dębego do Nowomińska. Dla tego rodzaju pasażerów taryfa jest nieraz zdwojona i przechodzi najwyższą miarę, jaka kiedykolwiek była stosowana. Obok więc zniżenia taksy biletów, obok zróżniczkowania jej na korzyść przejeżdżających większe odległości, niezbędne jest usunięcie ciężaru dodatkowych opłat z pasażerów przystankowych, opłat, nieusprawiedliwionych żadną zasadą i żadną potrzebą, a paraliżujących stosunki komunikacyjne miejscowości najruchliwszych. Mamy tu na myśli wszystkie większe ogniska przemysłu i handlu oraz ludniejsze miasta. Okalająca je ludność szerokim obwodem z natury rzeczy ciąży do nich swoimi interesami i dla swych częstych przejazdów wymaga taniego środka komunikacyi, którego nie znajduje w drogich kolejach. Wszędzie za granicą większe miasta opasuje długim promieniem sieć taryf zniżonych, która wywołuje i podtrzymuje natężony ruch osobowy. Ponieważ zaś u nas nie ma biletów przystankowych, a powrotne miały dotychczas termin zaledwie kilkunastogodzinny, nie znaleźlibyśmy w Europie drugiego, podobnego Warszawie miasta z półmilionową ludnością, którego najbliższe okolice byłyby tak martwe, puste, a zarazem tak ruchliwe na drogach kołowych. Do Paryża lub Berlina nie przyjeżdża może tyle furmanek, ile do Warszawy. Gdyby wieśniak z pod Płudów płacił za bilet tylko do Płudów, a nadto z bezpłatnym powrotem, z pewnością przywoziłby na targ kopę jaj lub garniec masła koleją. Dziś on nawet o tem myśleć nie może, gdyż bilet zjadłby mu całą kopę jaj.

Od dwu lat wprowadzono u nas bilety sezonowe o 30 do 40% tańsze od zwykłych. Jest to ustępstwo zbyt małe: bo jeżeli pasażer świąteczny, który daje kolei kilkudziesięciokopiejkowy dochód, otrzymuje 50% rabatu, to chyba co najmniej równie uprzywilejowany być powinien nabywca książeczki sezonowej, który kupuje odrazu 20 biletów i wnosi kilkanaście rubli.

Do tych pragnień należałoby dołączyć także jedno, pośrednio związane z ruchem

osobowym na kolejach żelaznych, ażeby poczta rozwożona była pociągami, zatrzymującymi się na wszystkich przystankach, a nie tylko na stacyach, co jest wprost dziwolągiem.

Z rozważenia tedy potrzeb miejscowych wypada nam życzyć sobie: 1) zmniejszenia miary obliczania ceny biletów, 2) zróżniczkowania jej na korzyść dalej jadących, 3) ścisłego zastosowania opłat do przebywanych odległości, 4) zaprowadzenia biletów powrotnych z kilkodniowym terminem oraz 5) sezonowych ze znaczniejszą obniżką ceny.

Skoro w ministeryum komunikacyi dojrzewa zamiar ułatwienia ruchu osobowego na kolejach, dzienniki powinnyby być rzecznikami potrzeb miejscowych i polecać je uwzględnieniu. Tymczasem prasa nasza, zajęta debiutami teatralnymi, tak milczy w tej sprawie, jak gdyby cały kraj był zaludniony posiadaczami biletów wolnej jazdy. Niechże ona pamięta, że kiedyś i dla niej mogą minąć szczęśliwe dni Aranjuezu.

Z AUSTRYI.

Minister hr. Schönborn oskarżony przez młodo-czechów. — Kwestya prawna. — Przebieg dyskusyi.

Przyznaję, że za mało znajome mi są reguły rozmaitych gier karcianych, za mało wejrzałem w tajemnice wista, maryasza, preferansa i taroka, aby rozstrzygnąć tu, do której gry najbardziej zbliżony jest w tej chwili system wewnętrznej polityki austryackiej. W każdym razie jest to gra niełatwa, wymagająca wiele skupienia umysłu a więcej jeszcze cierpliwości. Zasady jej na pozór nader proste. Wszyscy grają przeciw jednemu — którym jest obecnie rząd — a nadto każdy zosobna gra przeciw wszystkim innym. Ale jak trudne jest zastosowanie tych zasad w każdym poszczególnym wypadku w połączeniu z należytem uwzględnieniem hazardu! Jak liczna jest ilość kombinacyj możliwych, wiele szans do przewidzenia i obliczenia, zwłaszcza dla głównego gracza, dla rządu!

Za to nie brak też ciekawych zwrotów i zabawnych wypadków. Z dumą spoglądać może hr. Taaffe na przebieg ostatnich obrad parlamentu w sprawie młodoczechów przeciw ministrowi hr. Schönbornowi. Kto mógł był przewidzieć przed półtora roku, że Rada państwa będzie miała orzekać na mocy owego paragrafu ustaw zasadniczych monarchii, który od czasów nadania konstytucyi spoczywał jak broń zardzewiała w zbrojowni konstytucyonalizmu austryackiego, o oskarżeniu, zwróconem przeciw członkowi gabinetu, że oskarżycielami będą czesi, a obrońcami przywódzcy dawnej opozycyi niemiecko-liberalnej? A przecie tak się stało i to wśród ogólnego spokoju innych stronnictw, przy zupełnej obojętności oskarżonego rządu — jak to zwykle bywa i być powinno w grze towarzyskiej między osobami rozumnemi, które dla wypełnienia czasu tylko a w żadnym zresztą celu zasiadły w kącie salonu do zielonego stolika.

Każdy prawie szczegół tego zdarzenia charakteryzuje sytuacyę, którą stworzył mistrzowską zręcznością prezesa gabinetu. Przyczyną oskarżenia wniesionego przez młodo-czechów (jak to już czytelnikom wiadomo) było utworzenie niemieckiego sądu powiatowego w gminie Wekelsdorf. Fakt drobny, ale ważny pod względem zasadniczym. Według ustawy bowiem służy rządowi prawo tworzenia odrębnych sądów powiatowych dla ludności niemieckiej w Czechach, ale przed wydaniem odnośnego rozporządzenia sejm krajowy powinien być zapytany o zdanie. Zasięgał go też w obecnym wypadku rzeczywiście rząd od sejmu czeskiego, ale nie otrzymawszy dotychczas, nie czekał dłużej. Taki jest w głównych zarysach faktyczny przebieg sprawy. Reszta odgrywa się w dziedzinie wywodów i wykrętów prawniczych, których nie brak żadnej ze stron interesowanych. Czesi dowodzili z zupełną słusznością, że rząd nie otrzymawszy zgody sejmu, nie miał prawa tworzyć sądu Wekelsdorfskiego. Niemcy odpowiedzieli niemniej słusznie, że rząd uczynił zadość literze prawa, gdyż uprzednio zapytywał sejm, że wreszcie działał zupełnie w duchu ustawy, gdyż utworzenie nowego sądu nie jest bynajmniej zawisłem od przyzwolenia sejmu.

Gdyby sprawy tego rodzaju miały być rozstrzygane z kodeksem w ręku, wszystkie strony znalazłyby się w wielkim kłopocie. Na szczęście węzły takie bywają rozcinane bardzo rychło — przez silniejszego. Od chwili, w której młodo-czesi ogłosili zamiar swój wystąpienia przeciw hr. Schönbornowi z oskarżeniem, aż do chwili, w której parlament głosami wszystkich innych stronnictw nad wnioskiem tym przeszedł do porządku dziennego, nie było nikogo zapewne, któryby się wielce niepokoił o los oskarżonego ministra. Zaciekawienie kół politycznych dotyczyło tedy wyłącznie kwestyi, jakie będzie w tym wypadku zachowanie się szlachty czeskiej. Otóż stanęła ona po stronie rządu bez wahania, mimo to że w zasadzie zaznaczyła dotychczas kilkakrotnie zgodność zapatrywań swych na sprawę ugodową z hasłami młodoczeskiemi. Uczucie solidarności z ministrem arystokratą, spowinowaconym z największą częścią wyższej szlachty czeskiej i posiadającym dobra rodowe w Czechach, przemogło nad sympatyami politycznemi.

Dla szerszych kół zajmujący był przedewszystkiem sam przebieg rozpraw. Rada państwa jako trybunał, minister sprawiedliwości na ławie oskarżonych, pierwsze w dziejach parlamentu austryackiego zastosowanie paragrafu, tworzącego niby szczyt gwarancyj konstytucyjnych — składało się to na widowisko niezwykłe, przy którem przypominały się niejednemu dni podobne, znane z historyi parlamentu angielskiego. W rzeczy samej podobieństwo to było nader małe. Ze strony młodo-czechów występowali kolejno prawie wszyscy wybitniejsi mówcy, sprawę niemców prowadził niemal wyłącznie Plener. Argumenty i wywody obu stron znane były już z góry wszystkim obecnym. Do urozmaicenia dyskusyi przyczynił się tylko poseł młodoczeski Vaszaty, który zwykłym sposobem nie szczędził przeciwnikom ostrych przymówek, dalej poseł dalmacki, proboszcz Bianchini, który przyłączył się do oskarżenia w imię panslawizmu, wygłosił mowę w języku kroackim i zakończył ją okrzykiem „żywio!“, najbardziej jednak publiczność drugiej galeryi, złożona przeważnie ze studentów czeskich, którzy po wystąpieniu posła Herolda wybuchnęli głośnymi oklaskami i zmusili prezesa Smolkę do usunięcia tego chóru. Zdarzył się przytem komiczny wypadek. Kiedy opróżniono galeryę, ujrzano w niej samotnego obywatela, który mimo próśb i upomnień służby nie chciał widocznie ruszyć się z miejsca. Wreszcie, ustępując przemocy, wychylił się przez poręcz do sali i zawołał donośnym głosem w najczystszym dyalekcie wiedeńskim: „Jak długo żyję, nie wyrzucono mnie jeszcze nigdy z szynku!“ Głośny śmiech, który rozległ się w sali po tych słowach, dowiódł wymownie, że nastrój zgromadzenia

GARDENIA.

W izbie poddasznej rósł nizki, krzewiasty wśród bogato rozwiniętych liści lśniących, rozwijał się w pąki białe, piękne i pachniał cudną wonią — kwiat gardenii.

Często blada postać kobieca nachylała się ku niemu, jak gdyby go tchnieniem swojem ogrzać lub mu tajemnicę zwierzyć pragnęła. Wychudzoną ręką starannie ścierała kurz z jego liści i zwracała ku słońcu, gdy ono zaglądało na poddasze.

Kwiat zrósł się niejako z tem oknem, rysował się pięknie na tle małych, zielonawych szybek, nęcił widokiem swoim ciekawy wzrok sąsiada i jak promień złotego słońca rozpraszał mrok i smutek biednej izby poddasznej.

Musiał istnieć związek pewien między kwiatem a tą, która pielęgnowała go tak troskliwie. Poświęcała mu nieraz długie dnia godziny, szeptała przed nim o marzeniach młodości, o troscе i zawodach życia i nieraz nuciła ładną piosenkę, którą ktoś niegdyś dla niej był ułożył...

Lecz gdy choroba z nóg ją zwaliła, wszystkie te pieszczoty ustały. Kwiat dziwił się, że w izdebce coraz większa panuje cisza, że ludzi tam mniej się przewija, że maszyna do szycia warczeć przestała i że wszystko przybrało jakąś żałobną postać... Dziwił się i zwracał w kąt pokoju, gdzie na łóżku leżała jego opiekunka.

Może spojrzenia ich spotkały się i zrozumiały wzajem, gdyż niedługo kwiat znalazł się przy chorej. Na stoliku oswoił się prędko z nowem stanowiskiem, pachniał jak przedtem i dobrze mu było jak na oknie za zielonawemi szybkami.

Szmer na schodach przerwał panującą na poddaszu ciszę. Dał się słyszeć głos dziecięcy.

— Tu, proszę pani!..

Drzwi roztworzyły się szeroko i do izby wbiegł chłopczyk wątły i blady, prowadząc za sobą młodą, strojnie ubraną kobietę. Na jej gęstych, jasnych włosach spoczywał czarny z piórami kapelusz i przysłaniał nieco nos zgrabny i szafirowe, rozmarzone oczy.

Weszła szybko — a z nią razem jakby radosne tchnienie wiosny, jasność i życie wstąpiły w te progi. Zbliżyła się do łóżka i cofnęła z przerażeniem. Po chwili, ochłonąwszy nieco, sięgnęła do portmonetki i garść papierków złożyła w ręce chorej.

Chciała odejść natychmiast, gdy zatrzymał ją głos cichy, błagalny.

— Kto jesteś, pani?

Milczała.

— I ja byłam niegdyś młodą, wesołą, szczęśliwą — szeptała chora — jak ty, pani. Z tego wszystkiego pozostało mi dziś w ciężkiej chorobie — wspomnienie, samotność, nędza... Nie odchodź pani jeszcze... przybliż się, niechaj rękę twą uścisnę z serdeczną wdzięcznością. Czem i kiedy odsłużę się za dobroć twoją?.. Weź przynajmniej kwiatek z tej gardenii... ukochanej przeze mnie.

Z trudnością podniosła się na łóżku, zerwała gałązkę z kwiatem i związawszy nitką, podała przybyłej, która podziękowawszy, wybiegła z mieszkania.

W bramie zatrzymała się chwilę, popatrzała na kwiat i przypięła go do stanika. On też przytulił się do jej piersi, podnosząc wdzięk tej nadobnej postaci — i pachniał cudnie.

Po krótkim namyśle wsiadła do przejeżdżającej dorożki i wieźć się kazała na jedną z ruchliwszych ulic miasta. Wyskoczyła przed okazałą kamienicą, pobiegła na schody i zadzwoniła silnie.

Drzwi otworzyły się natychmiast, a w nich ukazał się służący we fraku i białym krawacie.

— Czy pan jest... powrócił?.. — zapytała gorączkowo.

Służący skłonił głowę z dobrotliwym uśmiechem.

nie był bardzo poważny, a nadto, że parlament nie uczuł się zbyt obrażony fatalnem porównaniem, którego użył świadomie lub nieświadomie poczciwy wiedeńczyk.

Obie strony, zainteresowane w sprawie ugody czesko-niemieckiej, rozczarowały się. Młodo-czesi przeliczyli się co do pomocy, której oczekiwali od szlachty czeskiej i od posłów morawskich; niemcy usłyszeli z kwaśną miną z ust hr. Schönborna, że rząd nie uważa bynajmniej kwestyi poruszonej jako rozstrzygniętą zasadniczo i że nie myśli tymczasem wcale o dalszem odgraniczaniu powiatów sądowych w Czechach przeciw woli sejmu. Odebrano im więc niejako jedną ręką to, co im drugą dano. W partyi tej przegrali jak zwykle wszyscy gracze, z wyjątkiem hr. Taaffego.

S—l.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Jak wiele innych wypadków, nabierających szczególnego rozgłosu w ciszy politycznej, również nowy gabinet włoski gra rolę ryby na bezrybiu, ważony jest ciągle na najczulszych szalach i obliczany najskrupulatniej, pomimo że mu nikt nie wróży długiego życia. Nazwano go „gabinetem Crispiego bez Crispiego.“ Rzeczywiście nazwa to słuszna, zwłaszcza jeśli prawdziwem jest doniesienie, że wszyscy ministrowie złożyli wizytę Crispiemu, prosząc go o poparcie. Tym krokiem Gioliti dowiódł, że nie może zdobyć się na samodzielność i utrzymać o własnych siłach, lecz musi żyć łaską potężnego sprzymierzeńca. Ale co wyraża nowy gabinet? Sam przez się bardzo mało, a przez swój sojusz z Crispim — większe odchylenie się od Francyi ku Niemcom, czyli w stronę trójprzymierza. Czy jednakże Gioliti, zanim zdoła się odchylić, nie upadnie? Przypuszcza taką możliwość nawet sam król, który podobno zamierzał odłożyć swoją podróż do Berlina, gdyż nie chciał tam być z prezesem ministrów, niedającym rękojmi dłuższego utrzymania się na swem stanowisku.

Ważniejszy przełom dokonał się w Grecyi. Jak w swoim czasie wyjaśniliśmy czytelnikom, między Deljanisem, prezesem gabinetu, a królem wybuchło starcie, w którem pierwszy zachował się bardzo buntowniczo, a drugi — bardzo energicznie, gdyż wbrew zwyczajowi konstytucyjnemu zmusił do ustąpienia ministeryum, posiadające większość w parlamencie. Na jego miejsce monarcha powołał inne, odrazu uznane za przejściowe. I oto odbyły się nowe wybory, które przyniosły zupełną klęskę Deljanisowi a zwycięztwo Trikupisowi, który też tryumfalnie wjedzie znowu do ministeryum, jak tylko król powróci z Kopenhagi, dokąd pojechał dla przyjęcia udziału w jubileuszu monarchy duńskiego.

Wilhelm II rozpoczął już swoje podróże wewnątrz państwa i — mowy, które zwykle sprawiają wiele zamętu i kłopotu jego ministrom. Dotąd wypowiedział tylko jedną — do pomorzan. Nie zawiera ona wszakże żadnego alarmu. Rzekł tylko: znoście wszystko cierpliwie, co niebo wam zsyła i dajcie mi kilka lat do urzeczywistnienia moich planów. Jakich — o tem nie wspomniał.

Prawie legendowy już wąż morski, który ciągle się wynurza i ciągle ginie, mianowicie pogłoska o pojednaniu dawnego kanclerza z cesarzem i powrocie Bismarka do rządów — wypłynęła znów w minionym tygodniu. Już jedni czuli dreszcze trwogi, drudzy — radości, gdy wyjaśniono, że plotka ta nie ma żadnej podstawy. Podobno ulęgła się ona we Friedrichsruhe, a miała na celu nie tyle sprowadzenie niemożliwego faktu, ile dolanie oliwy do gasnącego ognia gadanin o „samotniku,“ w czem głównie zainteresowany jest jego organ przyboczny *Hamburger Nachrichten*. Hr. Herbert Bismark, który żeni się z hrabianką Hoyos, miał otrzymać ambasadę, ale i to okazało się fałszem. Z całej tej paplaniny prawdą jest tylko to, że wielki Bismark pojedzie na ślub małego Bismarka do Rieki. Niewiele.

W austryackiej Radzie państwa rozpoczęły się obrady wielkiej doniosłości, na pierwszym zaś planie stanęła regulacya waluty.

Rząd francuski, uczciwszy na pogrzebach ofiary wybuchów dynamitowych, zapewnił pozostałym po nich rodzinom dożywotnie pensye. Ravachol został przewieziony do St. Etienne, gdzie ma być sądzony za zbrodnie poprzednie.

BADANIA NAUKOWE.

GRANICE WIEDZY I ŚWIAT POZAZJAWISKOWY.

(Dokończenie).

W najlepszym razie moglibyśmy więc sprowadzić tylko siłę działającą w odległości do innej podobnej *). Pojęcie więc siły takiej nie da się rozłożyć na inne. Na czem polega niezrozumiałość tego pojęcia? — jest to zagadnienie teoryi poznania. W mechanice zjawisk nie powinna nas ona krępować. „Nie potrzebujemy próbować, czy mechanizm, którym się posługujemy do syntezy zjawisk, jest wyobrażalny w swoich ostatnich składnikach, lub też czy pozostawia nadzieję, że kiedyś takim się stanie; wystarcza nam, gdy przy jego pomocy może być uskuteczniona synteza“ (str. 49). Nie zatrzymując się dłużej nad pojedynczemi syntezami naukowemi, którym autor poświęca rozdział osobny, przechodzimy do wniosków ogólnych, dotyczących poznania naukowego.

Rozważając sposób powstawania i znaczenie pojęć granicznych (np. bezwzględnej sztywności, nieskończonej wielkości itd.), autor wyróżnia dwojaki na nie pogląd: idealistyczny przypisuje im byt rzeczywisty; empiryczny uważa je za wyraz, przez który orzekamy, że zboczenie od wyznaczonej granicy prześciga środki naszego spostrzegania **). Widzimy więc, że wyrazy idealistyczny i empiryczny nie są tu użyte w znaczeniu, w jakiem się niemi po-

*) Nie należy się łudzić pod tym względem co do nowszych konstrukcyj fizyków; w teoryi cynetycznej gazów większość dziś przechyla się na korzyść odpychania, zamiast poprzednio przyjętego uderzenia sprężystego cząsteczek gazu. Wil. Thomson bardzo trafnie wykazuje, że siła odpychania może być zastąpiona przez przyciąganie (*Steps Fowards a kinetic theory of Matter* w *Lectures and Adresses*, 1889, str. 220). W tym samym odczycie wykazuje on możliwość przedstawienia sprężystości jako rodzaju ruchu (porównaj także: *Elasticity viewed as passibly a mode of motion*). Ale takie przedstawienie rzeczy, o ile jest korzystnem, zbliżając naukę o elastyczności z teoryą ciepła, nie usuwa bynajmniej pojęcia siły działającej w odległości. Nie usuwają jej również i inne konstrukcye tego fizyka, które nadto polegają na przypuszczeniu ciągłości substancyi.

**) Myśl ta rozwinięta jest obszerniej w dziele autora p. t. *Die allgemeine Functionen-Theorie.*

Nie pytając więcej, przeszła śmiało przez kilka pokojów i zapukała do małych, ukrytych drzwi gabinetu bardzo wziętego lekarza, który w tej chwili z gazetą w ręku wypoczywał na wygodnej otomanie.

Usłyszawszy pukanie, podniósł się zwolna i z uśmiechem wyrzekł:

— Proszę!..

Uchyliła drzwi lekko, przybiegła do otomany i zarzuciła ręce na szyję młodego lekarza.

— Jak się masz, mój ty śliczny, drogi, niedobry chłopcze! Jak można było siedzieć tak długo? Wyjechałeś na dwa dni, a nie było cię przez cały tydzień... Umierałam z tęsknoty...

— Czy być może? Więc naprawdę przywiązałaś się do mnie tak bardzo? Czy mam temu wierzyć — dodał, obejmując jej kibić i patrząc w jej oczy.

— Po cóż miałabym cię okłamywać? — odrzekła z uśmiechem. Za to jedno, żeś dla mnie taki dobry i wyrozumiały, jak nikt nigdy, kochać cię nie przestanę.

I złożyła na jego czole długi pocałunek.

— Jakaś ty dziś ładna, moja droga, jak ci do twarzy w tej aksamitnej zarzutce... w białym staniku!.. Jak ty pachniesz ślicznie!.. Ah! kwiat gardenii przy twojej piersi... Po raz pierwszy widzę cię z kwiatami... Co się stało?..

— Opowiem ci później, bo tam pewnie pacyenci twoi niecierpliwią się bardzo.

— Nie szkodzi... Mamy czas do czwartej.

— Więc słuchaj — rzekła z pięknym blaskiem w oczach. Spieszyłam do ciebie, gdy na ulicy płacząc, zastąpił mi drogę mały chłopczyna. Wzywał pomocy przechodniów dla swej chorej matki... Wzruszył mnie bardzo ten malec, uwierzyłam i poszłam z nim... oh! daleko stąd... Takiej nędzy strasznej nie widziałam w życiu. Na połamanem łóżku leżała jak trup blada, młoda jeszcze kobieta, wydając od czasu do czasu bolesne westchnienie. Litość przeszyła moje serce, machinalnie sięgnęłam ręką do kieszeni i oddałam jej wszystkie pieniądze przeznaczone na sprawunki. Czy dobrze zrobiłam?.. Wiedziałam, że mnie pochwalisz... Następnie chciałam odejść prędko, gdy zatrzymała mnie słabym głosem:

— Kto jesteś, pani? — pytała.

— Cóż jej miałam odpowiedzieć. Nie wiedziałam, co rzec — dodała młoda dziewczyna, spuszczając oczy. Milczałam. Gdy następnie zaczęła mi opowiadać, jak szczęśliwą była za młodu, od łez wstrzymać się nie mogłam... By nie wybuchnąć głośnym płaczem, pożegnałam ją czemprędzej i wybiedz chciałam, gdy zatrzymała mnie chwilę z prośbą, żebym wzięła ten kwiat gardenii...

— To dziwne zdarzenie — odezwał się lekarz.

— Mówiła mi, że z tym kwiatem łączyły się zawsze najpiękniejsze dni jej życia, więc postanowiła pielęgnować i nie rozstawać się z nim nigdy... Muszę tam zajrzeć znowu. Wiesz co, wybierzemy się do niej razem... Mój drogi, jedyny, może ty jej co poradzisz — rzekła ze łzami w oczach. Weź ją do twego szpitala. Ona taka biedna, samotna a taka miła...

Osypała go pocałunkami.

— Dobrze, dobrze — odrzekł z uśmiechem — pojedziemy tam jutro rano.

Klasnęła w ręce uszczęśliwiona.

— Choć raz w życiu spełnię dobry uczynek... Lecz powiedz mi — dodała po krótkiej przerwie, gdy oczy jej przybrały dawny wyraz rozmarzenia — czy to tak można przywiązać się do kwiatka i czy on może choć trochę osłodzić komu życie?..

— Można! Biedakom wystarczy kwiatek, jedno piękne w życiu wspomnienie, a tych, którzy nudzą się ciągle od zbytku szczęścia i rozkoszy, tych nie poruszy cały ogród kwiatowy, chyba jakiś ogrom klęsk niespodzianych, albo jakiś wielki rój wesołości przyjdzie do nich i siądzie im na ramionach.

— Prawda... odrzekła zamyślona. No, uciekam, żeby ci dłużej nie przeszkadzać a ten piękny kwiat daję temu, kto mi jest

sługuje filozofia; odpowiadają raczej przeciwstawieniu realizmu z nominalizmem w znaczeniu średniowiecznem. Stosując to do elementarnych mechanizmów, możemy je wyobrażać w sposób dwojaki: idealistycznem wyobrażeniem będzie atom, jako punkt w przestrzeni, wyróżniony od innych podobnych, obdarzony zdolnością ruchu i bezwładnością, jako ośrodek sił działających w odległości. Empirysta przyjmie za jednostkę drobinę (cząsteczkę), która jest bardzo, ale nie nieskończenie małą; a ponieważ zaprzecza on własności bezwzględnych, więc obdarzy tę cząsteczkę zwykłemi własnościami ciał. W ten sposób wprowadza do mechanizmu elementarnego te same własności, które przy jego pomocy zamierza konstruować. Po za tą jednak niekonsekwencyą synteza zjawisk może być dokonana równie dobrze przy pomocy jednego lub drugiego wyobrażenia. Wyobrażenie jednak idealisty jest naturalniejsze i konsekwentniejsze. Bądź co bądź, atom, czy drobina występują w roli właściciela siły, której, jak widzieliśmy, w żaden sposób rozłożyć dalej nie możemy; wszystkie oddziaływania substancyi odnoszą się do działania sił w odległości; na cóż nam ten właściciel niewyobrażalny, obdarzony niemożliwemi własnościami? Siła działająca w odległości jest jedyną rzeczą, do której ściąga się pojęcie materyi. *Materya a siła to jedno* (str. 103).

Wobec dowolności konstrukcyj syntetycznych wiedzy nasuwa się pytanie: w jakim stopniu możemy poznać istotę wszechświata przy pomocy naszego umysłu i zmysłów?

Zrozumieć przyrodę możemy wtedy, gdy wszystkie rodzaje odbywających się w niej zjawisk będą nam znane. Czy poznanie takie może kiedykolwiek nastąpić? Jeśli zważymy obszary nieskończenie wielkiego i nieskończenie małego, których granice usuwają się przed nami w miarę, jak się do nich zbliżyć staramy, przypuszczenie takie wydaje się wysoce nieprawdopodobnem. Nie tu jednak tkwi granica właściwa poznania ludzkiego. Istota, któraby pojmowała wszystkie czynniki zjawiskowe, musiałaby odczuwać przytem takie zadowolenie, jakie czuje człowiek, widzący ze sceny sztuki kuglarza; jeśli podobnego zadowolenia nie doznajemy i prawdopodobnie nigdy nie doznamy (gdyż, jak widzieliśmy, pojęcie siły czynnej w odległości ani zadowolić nas nie może, ani dalej rozłożyć się nie daje), to albo nie wszystko wiemy z tego, co jest, albo, chociaż wydaje się nam, że wiemy wszystko, lecz związek pomiędzy następstwem zjawisk nie zadawala nas; brakuje pewnych ogniw w łańcuchu przyczyn, czyli że również czegoś nie wiemy. Skoro więc po za tem, co wiemy, istnieje coś, o czem nie wiemy, powinniśmy przyjąć istnienie świata pozazjawiskowego (czyli jak autor inaczej go nazywa: *das physisches Jenseits*).

Nasza jaźń znajduje się jednocześnie w potrójnym świecie:

1) świat wyobrażeń zmysłowych i obrazów pamięciowych, jeszcze przez umysł nieprzerobionych;

2) świat stworzony przez myśl z tych wrażeń i obrazów, tj. świat pojęć i następstw związanych wyobrażeń.

Te dwa światy obejmują wszystkie nasze wyobrażenia o zjawiskach; po za niemi zostaje:

3) świat rzeczywistości lub pozazjawiskowy, obejmujący naszą jaźń wraz z dwoma poprzednimi, gdyż utwory ducha naszego niewątpliwie należą do rzeczy istniejących.

Ale dla poznania tego ostatniego świata nie mamy organu. Jak wtedy, gdybyśmy pozbawieni byli organów do tworzenia pojęć ogólnych, musielibyśmy poprzestać na pierwszym z tych światów, tak obecnie winniśmy się zadowolić dwoma pierwszymi.

Nowsza filozofia niejedno by może dodała do wniosków autora, niejedno w nich zaprzeczyła; nie możemy jednak z braku miejsca zatrzymywać się dłużej nad niemi, tem bardziej, że krytyka ich zmusiłaby nas do bliższego wejrzenia w szczegóły, które w tak krótkiem sprawozdaniu musieliśmy pominąć. W każdym razie myśl, że świat poznany, świat przez wiedzę konstruowany jest tylko fikcyą, chociaż fikcyą poniekąd konieczne nam narzuconą przez umysłowość naszą; że po za tym światem wyobrażeń zmysłowych i syntez umysłowych winniśmy się domyślać istnienia innego, rzeczywistego, myśl ta zostaje w zupełnej zgodzie z wynikami teoryi poznania, jak je pojmuje dzisiejsza filozofia.

Wł. M. K.

LITERATURA I SZTUKA.

MGŁAWICE „KRYTYKI NAUKOWEJ.“

III.

Zdawałoby się, że zagadnienia te wyczerpują program zawarty w wyrazie „Estopsychologia.“ Bynajmniej, tu dopiero właściwy jej obręb zaczyna się, to był jakgdyby datek, złożony w drodze koniecznego ustępstwa, krytyce dawniejszej, choć już spowija go warstwa idej, obcych jej zupełnie. Ta zaś nowa, do której plan szkicuje Hennequin, winna według niego polegać przedewszystkiem na wznoszeniu się od dzieła sztuki, do jego zwolenników. Właściwy jej nerw wkracza całym swym obszarem w dziedzinę psychologii społecznej. Między książką a kołem jej wielbicieli zachodzi stosunek nader pouczający, spleciony z mnóstwa nici pokrewieństwa duchowego, tak że uchwycić je znaczy rzucić snop światła na całą grupę ludzi.

W tem miejscu czytelnik nasz doznaje zapewne wrażenia, że kiedyś już widział to i słyszał, że się obraca w dobrze znajomej sobie krainie? Istotnie — o owej łączności między artystą a pewną sferą pisze się już dzisiaj całe tomy, idąc śladami Hipolita Taine'a, który podjął rzuconą przez Sainte-Beuve'a myśl i dowiódł teoretycznie oraz znakomicie zailustrował własną osobą, że dzieło sztuki nie jest bynajmniej wytworem danej jednostki, ile raczej swego otoczenia, do którego ma się tak jak roślina do swej gleby. Owóż u Hennequina, składowe czynniki formuły są prawie te same, ale wzajemny ich stosunek całkiem *odwrócony*. Nie tyle grunt hoduje odpowiadający jego naturze geniusz, ile geniusz powołuje do życia, stwarza po prostu pewne otoczenie.

Na pozór więc Hennequin daje się boleśnie we znaki systemowi wielkiego analityka i dziejopisa francuskiego. Gdyby bowiem uznać bez dalszych roztrząsań słuszność tej, samego rdzenia sięgającej, poprawki, stracilibyśmy nadal prawo rozkładania danego talentu na żywioły, z których się zrodził. Objaśniać np. charakter malarstwa holenderskiego, klimatem, ziemią, życiem towarzyskiem, rodzajem kultury, stopniem i gatunkiem dobrobytu plemienia — byłoby grubym błędem, skoro dopiero ma-

---

najdroższy. Przypnę ci go do surduta... Ot tak... Lepiej się jeszcze wyda na czarnej klapie, niż na białym staniku. Noś go... bardzo ci z nim do twarzy... Co robisz wieczorem? — spytała ze zwykłą żywością. Przyjdź do cyrku, świetne przedstawienie... cyrk pod wodą... zupełnie coś nowego... Franka będzie ze swoim chłopcem... Wszak ty ją lubisz... a potem pójdziemy sobie razem gdziekolwiek. Dobrze?

— Zobaczę.

— Więc do widzenia.

Posłała mu całusa rękami i skrytemi drzwiami wybiegła cicho i zręcznie.

Lekarz pozostawszy sam w gabinecie, sprzątnął dzienniki z otomany, ułożył je pod przyciskiem na stole i zbliżając się do biurka, gdy mimowolnie rzucił okiem w lustro, ujrzał kwiat gardenii, przyrosły jakoby do czarnego surduta. Wyjął go z klapy i umieścił na brzegu biurka w małym, chińskim wazonie.

Kwiat ów pięknie odbijał na tle bronzów, starego zegara i różnych gracików i jak przedtem — pachniał ciągle.

Lekarz spojrzał na zegar, zadzwonił, uchyliły się drzwi główne i z pod ciężkiej portiery wyszedł służący.

— Przyjmować!

Lokaj zniknął za drzwiami a po chwili weszła do gabinetu siostra miłosierdzia.

Lekarz przywitał ją z szacunkiem, wskazał miejsce i usiadł przy niej.

— Jakże zdrowie siostry Teresy?

— Dziękuję... teraz mam się zupełnie dobrze.

— A cóż porabia nasza mała?

— Właśnie z jej przyczyny pozwoliłam sobie przyjść tu do pana doktora — mówiła nieśmiało. Urlop pański kończy się dopiero pojutrze, lecz może pan będzie łaskaw choć na chwilę wpaść dziś do szpitala i zobaczyć naszą chorą. To takie poczciwe a biedne dziecko... Dowiedziałam się, że pracą zamęczała się dla całej rodziny, brata do szkół posyłała. Pokochałam ją bardzo, gdy ona mi w oczach niknąć poczyna. Gorączkuje ciągle i robi się taka biała, jak ten... kwiat, co stoi na stole...

— To nie dobrze — szepnął lekarz — zresztą zobaczę. Przyjdę zaraz, skoro tylko załatwię się z temi, co czekają.

— Dziękuję bardzo!

Chciała wstać z miejsca, lecz zawahawszy się chwilę, siadła znów na krzesło.

— Dziwna rzecz, jak mnie odurzył silny zapach tego kwiatu... Co to jest?

— Gardenia — rzekł lekarz, zbliżywszy się i kwiat jej podając. Niech go siostra przyjmie odemnie i oswoi się z tym zapachem.

Wzięła kwiat do ręki, powąchała silnie i skłoniwszy się, wyszła z gabinetu.

Idąc ulicą, niosła go ostrożnie. W jej rękach wyglądał jakoś inaczej i nastroił się jakoby do jej poważnej postaci. Przechodnie usuwali się poważnie, a jedna z kobiet skłoniwszy się przed nią nizko, szepnęła do siebie:

— To zapewne kwiat do kościoła...

Siostra szła wprost do szpitala, gdzie wśród wielu chorych, na sali ogólnej, leżało dziewczę młode, wątłe, z twarzą jak papier białą.

Nachyliła się ku niej, pocałowała w czoło i z uśmiechem podała kwiat gardenii.

Chora pochwyciła go w wychudłe ręce i do ust podniosła. Napawała się silną wonią i poczęła oddychać swobodniej. W oczach zajaśniał blask żywy, na twarz wystąpił rumieniec, jakgdyby poczuła ulgę w ostatnich życia gardzinach... Bo kwiat i dla niej pachniał.

Nazajutrz dopiero zgnieciony i zwiędły wypadł z rąk osłabionych na ziemię.

Wyrzucono go wkrótce na śmiecie, lecz i tam pachniał jeszcze... Bo on nie znał różnic, dla wszystkich żył i umarł jednaki — pachniał... Podobno tkwiła w nim dusza, która czasem w ludzkich ciałach przebywa.

Leopold Méyet.

larstwo wywołało pewien typ ustroju duchowego.

Otóż nie bądźmy skorzy do bicia w bębny na cześć nowego wynalazku. Poprawka nie podcina korzeni Taine'izmu. W obu bowiem wypadkach chodzi głównie o co? O poznanie dokładne sfery, tła zbiorowego pojedynczej twórczości. Ono to właśnie najbardziej leży na sercu autorowi „Filozofii sztuki.“ Pisarz lub artysta jest dlań w pewnej mierze i samoistnym celem rozbioru, ale głównie szkłem, przyrządem optycznym, wielce czułym i dokładnym, przez który bada duszę zbiorową. Przepych swego języka, plastykę swej wyobraźni, przenikliwość wzroku rozwija Taine we wszystkich swych dziełach krytycznych tam, gdzie wypada odmalować *epokę*, że przypomnimy, Hollandyę, Grecyę, Włochy, Anglię w okresie odrodzenia pogańskiego i chrześciańskiego.

„Dałbym pięćdziesiąt tomów nadań i sto tomów akt dyplomatycznych za pamiętniki Celliniego, za listę świętego Pawła lub komedye Arystofanesa“ — mówi H. Taine we wstępie do *Dziejów lit. ang.* (str. XLVI).

A skoro do tego samego, celu zmierza Hennequin, nowatorstwo jego ogromnie maleje i daje się, tymczasem przynajmniej, sprowadzić jedynie do uprzątnięcia owej jednostronności, którą właściwy jej mistrz zgrzeszył. A jeśli weźmiemy na uwagę, że kłuły one w oczy od pierwszej chwili swych narodzin, tedy ten punkt zasługi naszego bohatera przestanie być promienną gwiazdą, a zamieni się w zwykłą iskrę światła naukowego. Nie więcej, ale i nie mniej, nikt bowiem tak gruntownie i fachowo teoryi Taine'a, jak Hennequin, nie zrewidował. Odsłonił on całą chwiejność doktryn o wpływie rasy, klimatu, obyczajów, dziedziczności i tym podobnych czynników, wykazał świetnemi przykładami i tablicą głośnych nazwisk porównawczą, jak wielka różnolitość panuje śród umysłu jednego narodu i wieku, powołał się na odnośne dane antropologii o wielości typów w każdem ciele zbiorowem, wyjaśnił, jak na różnych szczeblach rozwoju danego społeczeństwa, różnym bywa stopień indywidualizacyi i — naodwrót — jednostajności duchowej, przypomniał, jak w wielkich ogniskach sztuki i literatury, zatracają one piętno narodowe z każdym dniem i oparł na murowanych podwalinach konkluzyę swą, że wypadek *przeciwieństwa artystów z otoczeniem* uważać należy za częstszy od wypadku odwrotnego.

A i to jeszcze zaliczyć musimy na dobro Hennequina, że cel ukryty pół-uświadomiony Taine'a, mianowicie odtworzenie epoki, na zasadzie symptomatów osobniczych, wysunął na czoło, wyłożył i udowodnił. Artysta jest widomym znakiem rzeszy wielbicieli, jak dzieło — jego znakiem. Między zdolnością wywoływania wzruszeń a zdolnością odbierania ich — zachodzi jedynie różnica natężenia. „Ci których przejmuje drżenie rozkoszy, gdy znajdą wyrażone w książce, w formie doskonałej, pojęcia im drogie; ci, których źrenice i cała istota rozszerzają się i ożywiają niejako wobec harmonii barw przyćmionych lub jaskrawych, wobec umiarkowanej lub gorącej kompozycyi obrazu; ci, których unosi lub przygnębia patetyczność andanta lub kapryśna lekkość scherza, bracmi są po duchu człowieka, w którego umyśle dzieła te nasamprzód się wylęgły.“ „Dusza narodu żyje w pomnikach jego, nie że naród je stworzył i ukształtował, lecz dlatego, że dzieła sztuki — z których najwyższe często pozbawione są właśnie cech epoki lub plemienia — wskazują całym ciągiem świetnych objawów, jaką drogą kroczył geniusz właściwy narodu, jaki był rozwój jego umysłowy w różnych epokach i kołach...“

A zatem sfera wpływu i doniosłości podobnych analiz rozszerza się jak kręgi fal na wodzie. Jak fale te z czasem trącają o brzegi, czyli swe ostatnie granice, tak wyniki estopsychologii sięgają według Hennequina kresów wiedzy ludzkiej i niemal całą ją obejmują. Bo oto rzuca ona światło już nie na pojedyncze odłamy, lecz całą historyę rozwoju umysłowego człowieka. Przy pomocy pewnych, nieustalonych jeszcze nauk, jak psychologia wielkich ludzi, będzie ona mogła poznać duszę narodów, ludzkości, wyśledzić nawet tajemnice ducha jednostki niedostępne dotąd, sprawdzić ogromem zebranego przez się materyału wiele twierdzeń nieumocnionych jeszcze i tym sposobem stanie się podporą „jednego z najwyższych szczytów seryi nauk o życiu, które stanowią ostatecznie przez swój cel oraz łączność między sobą, nic innego, jak tylko olbrzymią antropologię.“

Dla Hennequina obszar umiejętności na dwa działy się rozpada. Jeden, badając materye organiczną od jej początków w retorcie chemika lub otchłaniach morza, po przez gatunki zwierząt i roślin, po przez analizę kości, mięśni, nerwów, szpiku, mózgu wreszcie duszy, poznaje człowieka pojedyńczego — drugi zaś bada istotę społeczną, od etnografii do historyi. Lecz oba zmierzają do wspólnego punktu, na którym się spotykają: do pojęcia o człowieku — jednostce społecznej. W tym wzniosłym pochodzie antropologii, estopsychologia ze swą analizą, zbrojną wszystkiemi niemal naukami, odgrywać może rolę latarni morskiej...

Pod korę ziemi radby się dostać Hennequin z pomocą swej estopsychologii; chciałby wydusić z niej wszelkie możliwe korzyści, pragnąłby umysł poety zniecestwić, a poezyę złożyć na ołtarzu wniosków tak odległych, jak dane historyozofii i antropologii, które też królują w jego planie, rozpierają się wyniośle i despotycznie. Odtworzyć dzieło sztuki estetycznie, wydobyć na jaw jego uroki i powaby, to również robota dosyć pożyteczna, ale tylko jako „dodatek“ (str. 120—121) niby upiększający „bardziej oschłe lecz i bardziej przenikliwe wywody analityka“ i wdzięczne „intermedium.“ Ostatni ten pomysł musiał chyba wylądz się w teatrze kiedy orkiestra w międzyaktach grała dla „wyższych sfer“ kadryla lub walca. Dla nich to ponoć autor czyni to ustępstwo.

Trudno wierzyć, ażeby tyloma ciężkiemi misyami objuczona krytyka miała nam zapewnić dar słyszenia jak trawa rośnie, ale że jej to nie zaszkodzi, nie wątpimy ani na chwilę. Może ludzie z nadmiaru rozumu umierają, ale myśl ze zbytku filozofii i wymagań nie chudnie, osobliwie tam, gdzie z tytułu dawnych nałogów panoszy się dyletantyzm i pierwszy lepszy grafoman zabiera głos i znajduje czytelników. Ustrój duchowy malarza, rzeźbiarza a zwłaszcza poety stał się, nie wiadomo dla czego, wygonem, gdzie się pasają wszelkie gatunki wiejskiego inwentarza.

Pisarzowi, o którym mowa, przynosi to zaszczyt, że tak poważnie, pedantycznie nawet traktuje zadanie i rolę przyszłą krytyki.

W tem jednak miejscu mógłby ktoś zarzucić, że przecie źródłami wiedzy dziejowej i antropologicznej, również dobremi, mogą być i geniusze innego rodzaju, nietylko poeci i artyści. Między bohaterem, wodzem, a tłumami wpatrzonemi weń również zachodzi stosunek powinowactwa tak, że z właściwości wielbicieli można wnioskować o duchu epoki. Owóż Hennequin jest tego całkiem świadom, tak dalece, że prawidła swoje każe stosować do wszystkich wogóle wielkich ludzi, a estopsychologię uważa tylko za część całości bardziej rozległej. Ażeby zaś zostawać w zgodzie z sobą, rozciąga prawo działania talentów na pewne koła społeczne i do jednostek wybitnych na innych polach i wynosi stąd przekonanie, że grubo błądzą te szkoły historyczne, które uwzględniają w wypadkach dziejowych tylko masy, a królów i wodzów mają za proste ich symbole. Co prawda, i w tem nie ma świeżości pomysłu. O wiele wcześniej wygłosił go śmiały paradoksista i oryginał, Tomasz Carlyle w przedziwnej swej książce „Bohaterowie i kult bohaterów“ *) on pierwszy pojął głęboko, że mimo rdzenne różnice form, jednaka jest istota wpływu takich jak Dante, Napoleon, Eox lub Comwel.

Drugą poważną cechą naukowości Hennequina jest ścisła metoda w gromadzeniu indukcyjnego surowca. Nie zraża się prozą i zmudnością roboty, każe zbierać takie suche poszlaki, jak liczba czytelników poety, stan i zajęcie ich, rozmiar pokupu książek, ilość wydań, skala wynagrodzenia, cena obrazów, liczba przedstawień scenicznych. Tą drogą, przykrą, nudną i wybojów pełną, sam osiągnął rezultat znakomity, jak to widać z szematu próbnego, w którym rozbiera Wiktora Hugo, i dociera do wniosku natury ogólnej, że od 1830 do 1886 większość literatów francuskich wykazała przewagę pojęć słownych nad rzeczywistemi, czytelnicy z ludu — ideologię, która znalazła potwierdzenie w nieudolności politycznej, słuchacze teatralni atonię i niższość umysłową, młodzież — brak poczucia tego, co realne, upodobanie do efektów, dekoracyj, gromkich i dźwięcznych, choć pustych słów itd.

Znamy już teraz oba najcelniejsze systemy krytyki naukowej Taine'a i Hennequina. Niechże więc wolno nam będzie udowodnić czarno na białem, że to jeno *mgławice* i wykazać, że niemożliwem jest świetne te lecz luźne punkty zespolić tak, aby się zamieniły w integralne, skrystalone ciało. Zarówno bowiem jedna teorya, jak druga chwyta jedynie rąbek prawdy, jedną jej cząstkę i wydyma sztucznie do wielkości całego, sformowanego jej globu.

Naprzód tedy uderza nas, że zaciekanie się w psychologię rasy, w naturę gruntu, powietrza i inne czynniki przyrodzone, niezależnie już od jednostronności światła, które rzucają na dzieła sztuki i ciasnotę ram, w które je wtłaczają — stanowi pożyczkę, zaciągniętą (u różnych nauk, jak etnologia, antropologia), bez istotnej tego kroku potrzeby. Należało wprzód zbadać, czy ludziom i literaturze te odległe wycieczki w obce krainy zaspokoją jakieś łaknienie naturalne, czy nie możnaby się obejść bez wiadomości, ile cali średnicy mają belki używane do grobli nadmorskich w Niderlandach **) i tym podobnych śledztw. A następnie, w razie, jeśli już tego rodzaju nabożeństwo żywi ktokolwiek, czy nie można w samej duszy artysty, w jego płótnach, poematach w symfoniach, wyczuć głównych cech znamiennych jego środowiska kulturalnego, plemiennego itd. (*miliex*).

Zarzut ten stosuje się zupełnie tak samo do Hennequina. On wprawdzie używa antropologii, nie jako punktu wyjścia, lecz jako ostatecznej mety, ale czy nie ma tysiąca innych sposobów rozwijania jej i zbogacania, o wiele pewniejszych niż wnioski, snute z „Perseusza“ Celliniego lub „Zaczarowanego fletu“ Mozarta? Ciekawa zaiste rzecz, kogo z niespecyalistów grzeje lub ziębi wypisany z wielkim aplombem domysł, *koronujący* wywody psychologiczne, że w ustroju mózgowym autora „Legendy wieków“ przeważa trzeci zwój czołowy? Zapewne, nawet wnioski astronomiczne, gdyby był do nich przystęp, nie zasługiwałyby na odrzucenie, bo w całokształcie wiedzy żadne spostrzeżenie nie ginie bezowocnie, ale, pytamy, co zyskuje fizyologia na domyśle, *od niej* bez ceremonii pożyczonym? To tak mniej więcej, jak zrobić komuś prezent za jego własne pieniądze. I dla czegóż, w rzeczy samej, nie mielibyśmy zaprzęgać krytyki poetyckiej np. do celów ekonomii, ażeby wskazać, dajmy na to, jak ruch literacki w rodzaju romantyzmu oddziaływa na ruch handlowy, albo nawet do

*) Trzy lata temu daliśmy przekład lepszych jej fragmentów w *Prawdzie*.

**) H. Taine, *Filozofia sztuki*. Niderlandy.

innych celów tej samej antropologii, aby np. ustalić prawo związku wiedzy rodzajem lektury a płodnością małżeństw?

(D. c. n.).

Cezary Jelenta.

T E A T R.

Alfred Konar, *Bankruci*, sztuka w 4 aktach. — Występy tragika włoskiego Andrea Maggi.

Sprawozdanie nasze — późne, boć przecie nie możemy iść w zawody z pismami codziennemi, których mechanizm jest całkiem odrębny. Ale za to czytelnik osiąga pewną korzyść, bo jest o treści „premiery“ z dziesięciu stron powiadomiony. Zysk to tak wielki, że gotowiśmy niemal błogosławić dzienniki, iż każdej nowości teatralnej *z zasady* poświęcają tyle miejsca, ile np. *Times* rozprawom nad *Home-rulem,* albo zniesieniem niewolnictwa w Afryce. Maluczko, a będą rozbierać i roztrząsać każdą literkę nowej komedyi lub farsy.

Proszę nie wnioskować stąd, iż uważamy za takie nic, o które się robi wiele hałasu— utwór sceniczny p. Konara, będący przeróbką z powieści, która doznała u nas przyjęcia tak niejednolitego, że nie mogła dla jego dramato-komedyi usposobić ani życzliwie, ani wrogo. Owszem, jest to całkiem poważna próba, którą sam jej temat powinien uchronić od oceny lekkomyślnej lub lekceważącej. Każdy bowiem przyzna, że obraz materyalnego a częściowo i moralnego upadku rodziny, którą strąca w otchłań życie nad stan, ciągła zabawa i fumy, nie należy do rzędu malowanek, zdobiących pudełka do cukierków. Zgryzoty, choroba sercowa i śmierć na scenie fabrykanta Bożykowskiego, niedola jego żony i córek, fałszowanie wekslu przez syna, który w końcu w łeb sobie strzela, aby nie iść do kryminału — to rzeczy nie wesołe, jak nie wesołemi są wydarzenia z tamtemi splątane: zerwanie partyi starszej z dziewcząt, Heleny, która miała poślubić szlachcica Zaborskiego, i dramat małżeński między kochanką samobójcy, Klarą Faberową a jej mężem. Wypadki tu nie mają charakteru pustoty, bezmyślności, prędzej może za wiele grozy, której aż sam autor się uląkł widocznie, skoro do całości poważnej przylepił bardzo wątpliwy efekt, tak dziś mało popłatnej i tak bardzo zużytej miłości naiwnej w osobie młodszej córki Zosi. Okropnie ten epizod z resztą nie licuje. Wreszcie i o tem pamiętajmy, że sztuka jest rzucona na tło mieszczańskie, którego wiele rysów trafnie odtwarza i przeto ruina domu, jego wady i zalety, mniej więcej typowo postaciują w sobie całą tak zwaną inteligencyę burżuazyjną.

Takie jest wrażenie najogólniejsze, oczywiście korzystne bardzo. Inaczej wszakże sztuka działa na nas, gdy jej cztery długie akty mamy nie po za sobą, w odległości paru godzin, lecz, że tak powiemy, przed sobą. Wtedy wrażenia smaku dobrego i niesmaku ogromnie często zmieniają się, niby słońce i deszcz w kwietniu. Bo oto większość figur nie ma wyraźnego rysunku, a niektóre są wprost zagadkowe, niezrozumiałe: do nich należy sama Bożykowska, baba ni to wstrętna, ni to zacna, ni to okrutna, ni szlachetna, jej syn Jerzy, konkurent Zakorski, o którym nie wiadomo, czy ma być idyotą, czy tylko łazęgą, czy może jakimś *Hamletus postumus*; toż samo szablonowy, zidyociały baron Merkel, którego krótki wzrok i na nim osnuty komizm strasznie nam przypominają jednego ze *Starych kawalerów*. Niemniej naciąganym jest niby oryginał, a właściwie rezoner, pozbawiony wszelkich cech prawdy, Tomkiewicz. Całą tę galeryę widz musi traktować z wielkiem pobłażaniem. Drugi szereg momentów, o charakterze najpierwszych pierwocin składa się z tyrad, monologów, morałów, głośnych marzeń przy oknie i tym podobnych obficie rozrzuconych kwiatów, które przyjaciele autora całkiem niesłusznie usprawiedliwiają rodowodem powieściowym „Bankrutów,“ albowiem nie są one na miejscu nawet w romansie, lecz co najwyżej w artykule wstępnym, a jak na taki zbyt silnie znowu trącą myszką. Ale za to jest w tej sztuce parę scen, zrobionych dobrze, z gustem i prawdziwą, niespodzianą siłą, a mianowicie zajścia miłosne między Jerzym a Klarą, a więcej jeszcze dramat małżeński między nią a jej mężem. Faber, wybornie grany przez p. Ostrowskiego, dorobił się grosza pracą, szanuje go, zna swą wartość, jest mściwy, szorstki, ale z poczuciem honoru. Fabrowa z miłostkami się tai, wreszcie dłużej komedyi znosić nie mogąc, wybucha buntem przeciw jarzmu, w które je wprzęgli rodzice, łakomi na bogatego lecz niemłodego już zięcia. Starcia, uwarunkowane takim stosunkiem i takiemi naturami, wypadły prawdziwie, spółcześnie, przekonywająco. Pani Ludowa w oświadczynach miłosnych rażąca szablonem, w dalszym ciągu zdobywa się na szczerość, wybitną siłę i do reszty przeciąga punkt ciężkości sztuki na stronę epizodu, który miał być tylko przystawką, a stał się budowlą, zakrywającą korpus główny. Widać stąd całą naiwną bezporadność kompozycyi. Widać i to jeszcze, że zamiast dawać autorowi stopień jakby na egzaminie i na poczekaniu ferować wyrok, że ma „talent,“ „geniusz“ itd., życzliwi mu powinni byli raczej udać się na ustęp, rozważyć za i przeciw i zwrócić uwagę, że ma oczywiste powołanie do kreślenia scen dramatu miłosnego i małżeńskiego, czyli do motywów francuskich i że żywioł społeczny, zwłaszcza w szczegółach prawnych wygląda u niego, jak małe dziecko z wielkim pod pachą foliałem. Bądź co bądź, zachęty do dalszej w tym kierunku pracy są zupełnie słuszne; tylko odradzamy przeróbek, bo podobne, zbyt forsowne wyzyskiwanie jednego pomysłu na rozmaity sposób, zawsze wywołuje opatrzenie się, no i daje niepotrzebny pozór słabej inwencyi.

Sztuka, wystawiona bardzo starannie, dawała wykonawcom słabe pole do popisu.

Przeskok z teatru Letniego do Wielkiego jest w obecnym wypadku większy, niż ulica Niecała, na pierwszej bowiem scenie naszej pojawił się długo nieobecny gość — stary Will. Zasługa to nie naszego miasta, lecz tragika Maggiego, który zjechał z całą trupą ufny, że gwiazda, która ongi tak jasno przyświecała Rossiemu i jemu przychylna będzie. Nieborak omylił się grubo. Łaska publiczności warszawskiej na bardzo pstrym koniu jeździ — balon ze spadochronem pochłonął całą uwagę naszego myślącego ogółu. Nie osłabia to wszakże tak wiele rozkoszy duchowej, nie obniża wysokiego zadowolenia estetycznego, którem nas Maggi darzy. Dzięki niemu odżyła potężna organizacya Shakespeare'a i zabalsamowany u nas na długo wstał z martwoty z nowemi, młodzieńczemi siłami, z całym warem krwi i namiętności, z całą żelazną mocą swej psychologii, z całą głębią swej filozofii, z całą nadludzką odwagą zazierania do czyśćca duszy ludzkiej. Największe na ziemi objawienie geniuszu poetycznego ukazało się ponownie ale w formie nowej, społecznej, w szacie ludzkiej, realnej. Maggi bowiem jest przedewszystkiem realistą teatralnym. Czuje on snadź, że postacie Shakespeare'a można wydoskonalać wciąż i uwypuklać, udokładniać w miarę, jak rośnie zasób spostrzeżeń psychologicznych. Jest pierwszorzędnym mistrzem w odtwarzaniu stanów naprężenia nerwowego z całą ekspresyą ich zewnętrzną, na którą się składają wyraz twarzy, ruchy, odruchy, postawa, siła i brzmienie głosu, chód, cera. Ile tylko duch ludzki ma na swe posługi symptomatów zewnętrznych, tyle ich wydobyć umie ten artysta. Jego kreacye, to prawdziwe psycho-fizyczne ustroje o niezmiernie silnej wzajemnej zależności swych władz. A zatem aktor to w najściślejszem i najpełniejszem znaczeniu słowa, któremu prędzej możnaby zarzucić nadmiar gry, nadmiar bogactwa efektów, niż jakąkolwiek szczerbę w najwyższej subtelności. Gdy np. jako Otello wciska w rękę Emilii sakiewkę ze złotem, gorączkowość jego przechodzi granice prawdy, gdy jako Lir pastwi się nad kamieniem, który mu wyobraża serce córki, wykonywa ruchów za dużo, gdy odtwarza scenę niemą, mimiczną — trwa ona całe minuty i składa się z tysiąca momentów. Wszystko to świadczy o nieprzebranej skarbnicy pomysłów, którymi szafuje tak, jak gdyby się w nim tuzin ruchliwych aktorów złączyło i działa dwoiście, choć jedynie w swoim rodzaju, bo wzbudza podziw dla pracy i wynalazczości, lecz zarazem uprzytomnia nam, żeśmy w teatrze. Maggi jest zbyt wielkim wirtuozem i chwilami przypomina świetną koloraturę jakiej primadonny w operze Rossiniego, popis, odrywający słuchacza od samej sztuki. Z roli wyodrębniają się wtedy, niby osobne role, epizody z własnem samoistnem życiem; pochłaniają one uwagę widza, uzurpują prawne miejsca innym epizodom. Ale trzeba przyznać tej metodzie dwie poważne zalety; najpierw wszystkie szczegóły są tak świeże, umiejętnie, naukowo podpatrzone, tak fachowo wystudyowane, że psychiatra i fizyolog mogliby na nim czynić obserwacye, jak na okazie klinicznym, a powtóre, jeśli Maggi amputuje niemiłosiernie poetę gwoli wysunięciu na plan pierwszy ulubionych swych chwil, czyni to bez najmniejszego uszczerbku dla aktów decydujących w rozwoju uczuć i stanów. Tak np. krótka scena budzenia się Lira ze snu i obłędu w namiocie Kordelii, kiedy wzrusza on całe jestestwo nasze swą niewiarą we własne szczęście, pokorą, złamaniem, czułością bez granic, stała się u Maggiego osobnym aktem, ale chyba słusznie, bo nam ta chwila rozpłynięcia się tragedyi w potok łez ma nagrodzić nieskończoność gniewu, oburzenia, zgrozy, bo ona ma zrównoważyć długotrwałe, męczące znęcanie się nad wszystkimi popędami naszego człowieczeństwa...

Innym udało się być i na *Ludwiku XI* Delavigne'a i na *Keanie* Dumasa. Ze wzmianką o *Hamlecie* wstrzymując się, natrącimy jeno słówkiem o *Otellu* i *Królu Learze*. Pierwszego tragik włoski pojął zgodnie z najgłębszą intencyą Shakespeare'a, ale za to wbrew płaskiemu rozumieniu, które u nas i wszędzie indziej prawie zrobiło z murzyna weneckiego — bohatera na koturnach, w draperyi Karola Moore'a, ze szlachetnym, rozkazującym, wspaniałym głosem, tonem, postawą itd. Otella autor chciał mieć mężnym wodzem na żołdzie krolowej Adryi, „koniem berberyjskim,“ którego źrebięta powinny być rżeć, jak się urągliwie wyraża o nim na początku Jago, synem krain równikowych, który z wściekłości w konwulsye wpada, rasowcem gwałtownym i płomiennym, jak podzwrotnikowe słońce, o krwi namiętnej, mało ostudzonej przez cywilizacyę, ale zarazem chrześcianinem, pełnym uczuć miękkich, rzewnych. Takim jest też Maggi, czułym półbarbarzyńcą, który patrzy na Desdemonę, jak na bóstwo zaklęte w wątłe listki mimozy, ale w gniewie — tygrysem afrykańskim; jak on — miota się i niemal kąsa i niby po klatce pędzi dokoła komnaty, wydaje pół dzikie krzyki, jęki, miauczenia. Groza, naga prawda, bezgraniczna katusza w Otellu Maggiego nie poddaje się żadnemu opisowi. W dodatku jest to jedyna może ze sztuk repertuaru jego, w którym otoczenie trzyma się na pewnej wysokości.

Król Lear nie ustępuje poprzednikowi artystycznem opracowaniem, ale według nas traktowany jest za bardzo na własną rękę. Maggi oddaje jego zapalczywość znakomicie, obłęd — wybornie, ból — niezró-

wnanie, ale samą organizacyę czyni o wiele niklejszą, słabszą, niż pragnął Shakespeare. Pamiętajmy, że Lear to poganin jakiejś cyklopowej formacyi, olbrzym robiący wrażenie żywiołu przyrody, obleczonego w ciało człowieka. Czuje się on jak w domu w towarzystwie orkanu, gromów, błyskawic i potoków dżdżu. Krzepkość została mu do samej starości, oddaje on władzę, nie że jest zniedołężniałym i do rządzenia niezdolnym, lecz że po prostu pragnie wytchnienia. Maggi czyni go prawie ślepym, kiedy w pierwszym akcie rozpoznaje swoje córki, a w drugim mimo to wyprawia go na łowy. I w dalszym ciągu jest to znękany, zgrzybiały starzec, którego cicha, coraz cichsza boleść nie ma już tej potęgi pierwotnej, elementarnej, jaka wyróżnia tę tragedyę z pośród innych Shakespeare'a i nadaje jej styl odrębny, przypominający *Tamerlana*, *Żyda z Malty* i *Fausta* Marlowe'a, wielkiego *pre*-szekspirzysty.

Z tem wszystkiem jednak transpozycya Maggiego jest idealnie jednolita, konsekwentna, a stopniowe *diminendo* siły żywotności i buty w jego Learze działa jak zamierająca żałośnie ponura pieśń pod palcami wytrawnego pianisty.

R.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WIĄZANKA KRAKOWSKA.

17 maja.

— Tak mi się spać chce, że czuję, iż mógłbym zostać członkiem Akademii Umiejętności... Oglądam się... Widzę leniwie wyciągającą się postać napół drzemiącego studenta uniwersytetu, który oczywiście dla miłego obowiązku wraz z innymi przybył na doroczne zebranie Towarzystwa wzajemnej adoracyi — przepraszam — na zebranie Akademii Umiejętności. Działo się to w dniu 3-im maja, w auli uniwersytetu jagiellońskiego. Dużo orderów, kilka wstęg, parę hrabiowskich łysin, dużo głów, a mało sensu, dużo słodkich słówek, a mało pożytku — oto mniej więcej posiedzenie sz. Akademii. Otworzył je p. Dunajewski, jej wiceprotektor przemową, w której podziękowawszy licznie zebranym gościom za sympatyę dla pożytecznej instytucyi, podał do publicznej wiadomości, że Towarzystwo historyczno-literackie, przed pięćdziesięciu laty w Paryżu założone, oddało Akademii dom swój, bibliotekę i fundusze, a ona zobowiązała się w zamian do utrzymywania w Paryżu stacyi naukowej, która pozostawać będzie pod kierownictwem jej wysłannika, zasilana funduszem, którym Towarzystwo historyczne dotychczas rozporządzało. Z kolei p. Tarnowski ukłonił się Dunajewskiemu, p. Dunajewski — panu Tarnowskiemu, ten znów — kardynałowi, który jako kardynał po raz pierwszy posiedzenie Akademii obecnością swoją zaszczycił, ks. kardynał skłonił się p. Tarnowskiemu, ten zaś wypróżniwszy się należycie ze swego afektu dla ziewających członków, powtórzył trochę obszernej, tj. „wyjaśnił" wiadomość przez p. Dunajewskiego poprzednio wygłoszoną, wspominając zarazem o zmianach organizacyjnych w łonie Akademii zaprowadzonych (sekretarzom wydziałów przyznano miejsce w zarządzie, powiększono liczbę członków korespondentów itd.). Wypowiedziawszy, jak się cieszy, że św. kościół rzymski „pożyteczną" działalność Akademii pochwala, p. Tarnowski oddał głos generalnemu sekretarzowi, panu Smolce, który złożył sprawozdanie z czynności wydziałów i komisyi, żegnając nadto kilku słowami uznania pamięć zmarłych niedawno pracowników, jak Kopernicki, Baraniecki i kilku innych. Nakoniec prof. Bobrzyński odczytał, a raczej wyrecytował monotonnym, jakby niechętnym głosem „Kartę z dziejów ludu wiejskiego w Polsce." Ogólne zniecierpliwienie, którego wyrazem jest przytoczona na początku, a właśnie podczas odczytu wyziewana uwaga studenta, nie pozwoliła nam jednak przesłyszeć tyrady, w której p. Bobrzyński zaznaczył, że włościanom naszym w poddaństwie i z poddaństwem było „bardzo dobrze." Czyż może być inaczej, skoro „pan" tak chce? Nie ulega wątpliwości, że panu Bobrzyńskiemu — nie z obywatelstwem, ale z *poddaństwem* austryackiem jest i będzie zawsze dobrze. Faktyczna tj. historyczna strona odczytu jest ciekawa, jako przyczynek do dziejów naszego ludu. Na podstawie zbioru ustaw „Volumina legum" p. Bobrzyński zaznaczył, że od XVI-go do XVIII-go wieku fakt poddaństwa w Polsce nie istniał, mimo ustaw poddańczych z 1496 i 1520 r. Akademia podejmie wydawnictwo nowych źródeł do historyi ludu wiejskiego. P. Bobrzyński wybrany został na członka Akademii umiejętności w Pradze — cesarz wybór zatwierdził.

Panowie Bobrzyńscy póty będą uważali poddańczość ludu za stan bardzo szczęśliwy, póki on im hasła swego szczęścia sam, świadomie nie wypowie, tj. póki ten lud na tyle się nie oświeci, że JW-ym do nóg padać, a stopy im całować przestanie, natomiast w imię człowieczeństwa praw ludzkich zażąda. Ogółem wziąwszy jest w Galicyi 66,4% analfabetów, w pojedyńczych zaś powiatach liczba ich przechodzi 90%. Garstka ludzi dobrej woli stara się chwilę lepszą zbliżyć, rozjaśniając wedle sił ciemne umysły naszego chłopstwa. W Kołomyi zawiązała się filia istniejącego w Krakowie „Towarzystwa szkoły ludowej." Na bezrybiu i rak — ryba: przeszło połowa gmin galicyjskich nie posiada własnej szkoły, istniejące zaś częstokroć nie mają nauczycieli.

Na posiedzeniu komitetu krakowskiego „Towarzystwa rolniczego" zapadło kilka uchwał, które może dodatnio na podniesienie gospodarstw wpłyną. Między innemi, postanowiono: 1) przesłać ministrowi rolnictwa żądanie zapomogi dla popierania hodowli bydła na r. 1893 w kwocie 22,425 złr., na podstawie prób nadesłanych z towarzystw rolniczych okręgowych; 2) zobowiązać inspektora hodowli, aby w razie wezwań od osób prywatnych udzielał rad w sprawach hodowlanych za zwrotem kosztów i za dyetami (5 złr. dziennie); 3) poprzeć memoryał Towarzystw gospodarskich galicyjskich do Rady państwa przeciw otwarciu granicy rumuńskiej dla dowozu bydła. Wogóle powoli zaczyna się tu budzić pewna potrzeba życia ekonomicznego, potrzeba pewnej łączności w szerszem działaniu, której wyrazem są coraz liczniej tworzące się związki, spółki, stowarzyszenia gospodarskie i przedsiębiorcze. W Krakowie istnieje od niejakiego czasu taki związek handlowy kółek rolniczych, we Lwowie 1-go maja otworzone zostało akcyjne Towarzystwo handlowe, jako „Centralny bazar dla wyrobów krajowych." Może przemysłowcy nasi potrafią przekonać J. O. Publiczność, że czas już odrzucić śliniaczki i pieluchy wiedeńskie, a natomiast spróbować, czy dzieci nasze nie równie pięknie na — domowych chować się będą... Rzecz dziwna: każdy naród, podobnie, jak i każda jednostka ma pewną dozę samozachowawczego egoizmu, zarozumiałości, próżności z posiadania wyjątkowych, jemu tylko danych zalet. Tylko my jesteśmy skromni: my nic mamy mydła, bo cóżby robił Paryż lub Wiedeń, nie mamy maszyn, bo cóżby robili anglicy, nie mamy pomysłów, bo cóżby się stało z Ameryką?.. My mamy tylko grzeczność: ustępujemy; mamy gościnność, objawiającą się w wysiadywaniu jaj, składanych w nasze gniazda przez wszystkie kukułki świata; mamy wdzięczność za uznanie, jakiem od czasu do czasu jedna ze stolic wielkoświatowych zaszczyci nos lub czuprynę któregoś z „naszych." Portret Paderewskiego podobał się w Paryżu: niech żyje Paryż; Wiedeń ogłosił nową piękność polską: niema jak Wiedeń! — itd.

Prawda, mamy nadto jeszcze lichwę. P. Leop. Caro na posiedzeniu lwowskiego Towarzystwa prawniczego przedstawił bardzo ciekawie stan kredytu włościańskiego od r. 1876. Prelegent stwierdził, że mimo przeciwnej ustawy, lichwa w Galicyi istnieje. Różnica stosunków dzisiejszych od okresu z przed r. 1876 polega tylko na tem, że dawniej Galicya była kolebką lichwiarzy, że ci pożyczali pieniądze na 100—200%, podczas gdy dzisiaj starają się w ten lub inny sposób ustawę obejść. Prelegent wyliczył 10 takich sposobów, np. używanie gruntów w zastaw oddanych, t. zw. sprzedaż „na lata," dawanie bydła na utrzymanie do włościan, zamiast procentu, pobieranie procentów w naturze wzięcie gruntów dłużnika w dzierżawę za bezcen itp.

Ukazał się w druku 1-szy tom dzieła, staraniem rodziny Sapiehów wydanego p. t. „Archiwum Sapiehów." Poświęcił je książę Adam pamięci ojca. Tom ten obejmuje korespondencye przodków tego domu z królem i senatorami z lat 1575—1606, w 600 listach, zebranych z archiwów sapieżyńskich. Jest to nader zajmujący przyczynek do dziejów Litwy, drugie już wydawnictwo jednej rodziny dotyczące. Pierwsze — sławuckie rzuca światło na dzieje Wołynia.

Kandydatura Milewskiego upadła, wybrano Hofmokla.

Ferropar.

Z POZNAŃSKIEGO.

15 maja.

Brak sił roboczych. — Dekrety banicyjne. — Częściowe ich ograniczenie na rok bieżący. — Wybory na Szląsku. — Niefortunny kandydat do orderu.

Skoro tylko śnieg tajeć zaczyna, a na ziemię słońce rzuci weselsze promienie, rozpoczyna się u nas wśród rolników corocznie ta sama skarga: skąd wziąć najemnika do obrobienia ziemi? Nie brak w Poznańskiem rąk przez zimę, ale stanowczo jest ich za mało na wiosnę i w lecie. Wszystko, co zdrowsze i silniejsze, a bezdomne lub bezrolne, podąża na zachód, gdzie pracodawca bardzo dobrze opłaca robotnika rolnego i bardzo uczciwie się z nim obchodzi, na miejscu zaś zostają tylko słabsi i ci, co własne posiadają zagony. Ten ubytek sił zastępuje się zawsze przychodniami ze wschodu, dla których Poznańskie pod względem płacy stanowi to, co dla robotników miejscowych prowincye nadreńskie lub Saksonia. Wiadomo, że Bismark „ze względów polityki państwowej" zamknął granicę dla robotników, przybywających ze wschodu i że w roku zeszłym rząd na nalegania ziemian warunkowo i ze znacznemi ograniczeniami ją na nowo otworzył. Było to niedostateczne, a co więcej dawało sposobność rozmaitym landratom do rozwinięcia większej lub mniejszej samowoli wobec biedaków, którzy ani się bronić nie umieli, ani nawet nie śmieli. Dlatego też podniesiono tę sprawę publicznie i z pewnym naciskiem przed kilku dniami w sejmie pruskim. W komisyi, która się zajmowała przedstawionym jej planem reformy rolnej, zajmowano się także i sprawą sprowadzania robotników rolnych z Rosyi. Na żądanie niektórych członków, ażeby zniesiono wszelkie ograniczenia i wpuszczono całe rodziny najmitów, oświadczył obecny na posiedzeniu komisarz rządowy. „Rząd nie może się zgodzić na nieograniczone sprowadzanie robotników obcokrajowych. Po dokonanem w roku 1885 zamknięciu dla nich granicy wschodniej i zatwierdzeniu tego środka przez izbę deputowanych uchwałą z d. 30 stycznia 1886, mniej więcej w 5 lat później,

chcąc ile możności zaradzić powstałemu we wschodnich dzielnicach brakowi sił roboczych, dał sposobem próby na 3 lata naczelnym prezesom upoważnienie, ażeby pozwalali w zasadzie na sprowadzenie tylko pojedynków zamiast całych rodzin i żeby robotnicy ci po skończonej porze pracy rolnej wracali do swych stron rodzinnych. Wskutek różnych zażaleń, dowodzących, że rozporządzenie to nie usuwa w pożądanej mierze braku robotnika, polecił minister spraw wewnętrznych w reskrypcie z czerwca 1891 raz jeszcze wyraźnie, ażeby o ile na to pozwala interes państwa, usunięto uzasadnione skargi... Surowe wymagania, jakie z początku robiono pod względem legitymacyi robotników zagranicznych, zostały zaniechane, a również uwzględnione zostały i inne życzenia pracodawców w najrozleglejszej mierze. Tylko w bardzo wyjątkowych razach prośby o dopuszczenie robotników obcokrajowych odrzucono. Podobnież i przepis, ażeby w ogólności dozwolono na zatrudnienie osób pojedynczych i czas pobytu dla nich w obrębie monarchii pruskiej ograniczono tylko do czasu trwania pory zajęć rolnych, nie był wykonywany z bezwzględną surowością; ale o ile na to pozwalał interes państwa i wyjątki uznane były za konieczne, dozwalali naczelni prezesi także sprowadzać rodziny i na czas dłuższy."

Z oświadczenia tego wynika, że w tym roku dozwolony będzie wstęp do Prus robotnikom rolnym z państwa ruskiego, tak pojedynczym, jak i całym rodzinom, dla innych zaś najmitów i rzemieślników granica jest bezwarunkowo zamknięta.

Okręg wyborczy Kozielsko-wstrzelecki powołał przed kilku dniami nowego posła do parlamentu w osobie kandydata centrum d-ra Stephana. Otrzymał on 10,716 głosów; udział wyborców był słaby. Jedynie ludność polska odbyła wiec, na którym księża porządnie się skompromitowali. Jeden z nich między innymi stanowczo nakazywał swym owieczkom, żeby się stali niemcami. Niestety obecni jakoś nie mogli pojąć tej dobrej rady i zagrozili mu argumentami dobitnymi, co znowu tak zaostrzyło sytuacyę, iż koledzy musieli przyjść biedakowi z pomocą, która skończyła się na uniewinnieniu go tem, „iż dyabeł nie tak straszny, jak go malują."

t. z.

PASZPORTY ZDROWIA.

Biorąc do ręki jakąkolwiek broszurę lub książkę popularną, napisaną przez lekarza z szerszym poglądem w zakresie dzisiejszego stanu zdrowotności ogólnej, możemy być z góry przekonani, że znajdziemy utyskiwania, iż medycyna dzisiejsza jest raczej środkiem zwyrodniania tegoczesnej cywilizowanej ludzkości, aniżeli jej doskonalenia pod względem antropologicznym. Świeżo właśnie spotkaliśmy niewielką pracę dr. W. Schallmeyera*), pod wielu względami zbyt marzycielską, lecz sprawiającą przyjemne wrażenie. Autor, zadawszy sobie zaraz na wstępie pytanie co do kierunku dzisiejszego doboru społecznego, tj. czy zdrowie i siły fizyczne zwiększają się w łonie cywilizacyi lub też słabną, z góry odpowiada przecząco, a sam wzrost zwyrodnienia przypisuje w znacznej mierze działaniu sztuki leczniczej. Wszelki gatunek zwierzęcy ulega ciągłemu doskonaleniu się przez wyrugowywanie z pośród siebie organizmów słabych i mniej przystosowanych do swojego otoczenia. Podobnie działo się w pierwotnej ludzkości. Słabi fizycznie i chorowici skutkiem ciężkich warunków bytu wymierali wcześniej, nie pozostawiając po sobie potomstwa. Inaczej w cywilizacyi. Dzięki np. postępowi medycyny, obłąkani i wogóle rozstrojeni umysłowo bywają dzisiaj bardzo często „wyleczani." Atoli to polepszenie stanu ich zdrowia w gruncie rzeczy jest tylko pozornem, gdyż usposobienie organiczne, które doprowadziło do rozstroju umysłowego, pozostaje nadal, czekając jedynie jakiegoś splotu pewnych okoliczności, ażeby podbudzone ukazało się z całą mocą. Jednostka taka podczas tego okresu, kiedy dzięki sztuce lekarskiej chorobliwe dążności organizmu zostały chwilowo złagodzone, wstępuje w związki małżeńskie i pozostawia potomstwo, o którem już w dzisiejszym stanie nauki na pewno możemy wyrzec, że odziedziczy wady swoich rodziców. Albo weźmy suchoty. Kiedy Koch ogłosił o swojem odkryciu, rzesze łatwowierne uwierzyły, że nadszedł kres dla tej choroby. Nadzieje te i poglądy były płonne. Żadna limfa nie usunie organicznej skłonności do suchot, ani też nie zapobiegnie niszczeniu przez odpowiednie bakterye organizmów ludzkich, póki te ostatnie znajdują się w niehygienicznych warunkach odżywiania i oddychania. Limfa jedynie całej masie natur chorowitych i wycieńczonych przedłużyłaby życie, pozwalając im przez ten czas przekazać swoją słabą organizacyę fizyczną dalszym pokoleniom. Słowem, dzisiejsza medycyna — wnioskuje dr. Schallmeyer — wychodzi na wielki pożytek dla jednostki, lecz przynosi szkodę dla całego rodzaju ludzkiego. a wszelkie postępy, uczynione przez nich w przyszłości, jeszcze bardziej wzmogą takie jej wpływy. Jej to pomocą można wyjaśnić ów fakt ciekawy, iż ludzie dzisiejsi, chociaż pod względem budowy fizycznej są daleko wątlejsi, aniżeli dawni ich przodkowie, mimo to odznaczają się dłuższem trwaniem życia oraz że wiek działalności rozpłodczej człowieka cywilizowanego został posunięty w dalsze lata, kiedy siły organiczne już osłabły. Autor wszakże zastrzega się przeciwko możliwemu podejrzeniu, jakoby chciał dzisiejszą chorowitą część społeczeństwa pozbawić opieki lekarskiej i dać prawo do życia jedynie osobom zdrowym, jak to czynili nieraz z całą zaciętością, niemal chlubiąc się swoim antihumanizmem, niektórzy przedstawiciele „darwinizmu społecznego." Przeciwnie. Dr. Schallmeyer przedewszystkiem zaznacza fakty, jak one istnieją i wyglądają w rzeczywistości. Zdaniem jego, okazywanie pomocy każdemu choremu osobnikowi jest nabytkiem dziejowym, który winien raz na zawsze pozostać jako jeden z najpierwszych obowiązków życia cywilizowanego, walka zaś przeciwko zwyrodnianiu ludzkości winna być przeniesiona na inne pole, niż odmowa pomocy, a mianowicie winna polegać na zapobieganiu pojawiania się organizmów słabych i chorowitych, oraz zakażenia chorobą osób zdrowych. Nie będziemy wraz z autorem badali źródeł zwyrodnienia, które tkwią przedewszystkiem w warunkach bytu; zobaczmy natomiast, jakie on cele stawia medycynie. Pragnie, ażeby stała się ona rodzajem hygieny społecznej i przewodniczką świadomego wśród ludzkości doboru w kierunku fizycznego doskonalenia się. Innemi słowy, żąda on zaprowadzenia w społeczeństwie tego, co antropologowie nazywają antropotechniką, chociaż zdaje się, iż występuje on ze swojemi rojeniami, nie nie wiedząc o analogicznych życzeniach, a nawet o pewnych krokach praktycznych, jakie tu i owdzie uczyniono w tej sprawie. Plany jego są bardzo zbliżone do biografij fizyczno-antropologicznych Galtona. Również Schallmeyer nie przeczuwa, że np. przy Towarzystwie lekarskiem angielskiem istnieje cały oddział antropo-techniczny, który wydał nawet odpowiednie „albumy" do kreślenia życiorysów fizycznych, a który marzy nawet o powołaniu do życia „hypotek antropologicznych." Materyał tu zebrany, gromadząc dane, dotyczące zdrowia fizycznego pokoleń, pozwoliłby z czasem poznać bliżej tak dzisiaj jeszcze ciemne tajniki dziedziczności fizyologicznej — zadanie, bez którego niemożliwa jest wszelka antropotechnika — a jednocześnie przedstawiając fizyognomię fizyczną przodków, dawałby wskazówki potomkom, jakie w ich organizmie tkwią skłonności chorobliwe i jak należy je zwalczać hygieną. Autor nie posuwa się wszakże tak daleko, jak angielscy rzecznicy antropotechniki. Idzie mu o cele bliższe, niewykraczające po za okres jednego lub dwu pokoleń ludzkich. Nadto, podczas gdy w rojeniach antropotechników angielskich wszystko opiera się na pobudce indywidualnej, medyk niemiecki z góry uważa przymus państwowy za niezdowny. Według niego każdy poddany danego państwa, jako też każdy obcokrajowiec, trwale w niem mieszkający, winien posiadać „paszport swojej zdrowotności." Paszporty te wydawane byłyby na określony przeciąg czasu przez władze hygieniczno-medyczne tego obwodu sanitarnego, do którego jednostka stale należy. W świadectwie takiem, niemającem zresztą najmniejszego znaczenia policyjnego, byłyby skreślone drobiazgowo fizyczno-antropologiczne właściwości osobnika, ażeby umożliwiały badanie praw dziedziczności w odpowiednim zakresie, a nadto zapisaną każda choroba, którą centralne biuro hygieniczne nakazałoby zaznaczać. Czyniłby tu lekarz, do którego zwróciłby się chory, a owo świadectwo posiadałoby wagę dzisiejszych aktów stanu cywilnego; doktór przytem wnosiłby jednocześnie daną chorobę z nazwiskiem chorego do innej księgi, rządowej, złożonej u niego w ciągu roku, a potem odsyłanej do biura centralno-krajowego. Z końcem roku zwracanoby paszporty zdrowia, a otrzymywano inne; stary zaś składanoby w archiwach. Każdy posiadałby prawo zażądania urzędowej kopii oddawanego świadectwa. Tym sposobem w każdej rodzinie powstałby zbiór dokumentów antropologicznych, który nietylko byłby pamiątką osobistą lub rodzinną, lecz posiadałby olbrzymie znaczenie praktyczne. Z chorób rodziców możnaby wnioskować o zachowaniu względem dziecka, gdyby ono uległo niemocy; następnie odsłaniać ukryte dążności chorobliwe, tkwiące od urodzenia w organizmach potomków, i przedsiębrać z góry stosowne środki itd. Jeden tylko krok dzieli projektodawcę od wymagania hypotek antropologicznych, mianowicie tego, aby te zbiory rodzinne spoczywały w dostępnych każdemu biurach. Wreszcie prócz świadectw zdrowotności żąda on nadto regulowania ze strony urzędów medyczno-hygienicznych związków małżeńskich. Ponieważ z paszportów danej osoby, złożonych w odpowiednim archiwum, możnaby wiedzieć, czy nie przebywała ona jakichś chorób lub nie ulega jakimś cierpieniom, pozostawiającym głębokie ślady w organizmie i odbijającym się na zdrowiu potomków, przeto urzędy hygieniczne wydawałyby należyty sąd o tem, czy ktoś zdoła mieć zdrowe dzieci, czy też nie. Tylko ci mieliby prawo wstępować w związki małżeńskie, którzy otrzymaliby stosowne pozwolenie. W ten sposób państwo miałoby kontrolę nad reprodukcyą ludności krajowej, przekazywanie dziedziczne wad organicznych zostałoby powstrzymane, dobór fizyologiczny w kierunku coraz większego wyrugowywania natur chorowitych zapewniony.

Tak mniej więcej wygląda całokształt urządzeń antropologicznych w opracowaniu d-ra Schallmeyera. Autor posuwa się jeszcze dalej i żąda, ażeby upaństwowiono sam zawód lekarski. Jest to, według niego, nieodzowny warunek, bez którego niepodobna nawet marzyć o należytem zorganizowaniu owego archiwum zdrowotności, o paszportach hygienicznych i regulowania przez specyalistów związków małżeńskich. Upaństwowienia praktyki lekarskiej domaga się sama godność tego za

*) Dr. W. Schallmeyer, *Ueber die drohende körperliche Entartung der Kulturmenschheit*. Berlin.

wodu. Traktowanie jej jako prywatnego rzemiosła oraz wolna konkurencya posiadają w autorze nieprzebłaganego przeciwnika, spostrzega on bowiem tu źródło nadużyć i niesumienności. Medyk pod wpływem tych warunków zamienia się na spekulanta, który tyle jedynie dba o zdrowie pacyenta, ażeby nie stracić wziętości, a którego wszystkie postępki są skierowane do jaknajprędszego naładowania kieszeni. Również wyrabianie leków przeszłoby w ręce państwa. Kraj zostałby podzielony na obwody i gminy zdrowia z odpowiednią organizacyą pomocy medycznej i aptekarskiej. Zresztą choremu służyłoby prawo udawania się do wybranego lekarza, który nie nie brałby za poradę, otrzymując stałą pensyę od państwa, lecz jedynie uwiadomiałby (przypuśćmy co tydzień) właściwy wydział o swojej praktyce. Wydział ten ściągałby zapłatę, zależną od zamożności chorego, a większą w tym wypadku, gdy pacyent zwrócił się o poradę nie do władz lekarskich swojej gminy, lecz jakiejś innej. W każdym razie honorarya te byłyby mniejsze niż dzisiaj. Lekarz otrzymywałby jeszcze pewne uzupełnienie swej pensyi, odpowiednio do rozmiaru praktyki pozagminnej.

W gruncie rzeczy marzenia Schallmeyera są jedynie utopią. Nawet gdyby one zostały powołane dzisiaj do życia, bynajmniej nie wydałyby pożądanych skutków. Bo zastanówmy się np. nad obiecywanemi następstwami regulowania związków małżeńskich. Wydział medyczny rozstrzyga, czy kto posiada prawo wejścia w takie związki, a raczej wydawania na świat potomstwa, bo stosunki małżeńskie są rzeczą najzupełniej obojętną, jeśli nie pociągają za sobą płodności. Byłoby to skuteczne, gdyby reprodukcya gatunku ludzkiego odbywała się jedynie drogą, że tak powiem, legalną, polegającą na tem, iż para ludzi nie może się obejść bez błogosławieństwa księdza lub obecności mera. Atoli w krajach, bardziej pochwyconych przez tegoczesny rozwój ekonomiczny, „życie na wiarę“ staje się coraz bardziej upowszechnione. Cóż wobec tych stadeł poczną wydziały medyczne ze swoją kontrolą? Jest ona możliwa, gdyby była następstwem rozwoju moralnego, objawem pobudki osobistej, nastąpić to zaś może jedynie wtedy, kiedy szeroki poziom wykształcenia stanie się dobytkiem każdego przeciętnego obywatela. Podobnie wszystkie nadzieje, oparte na upaństwowieniu pomocy lekarskiej są nieuzasadnione. Lekarz posiada tu bardzo małe znaczenie w porównaniu ze środkami leczenia: dozorem, pożywieniem, powietrzem itd. Należałoby raczej marzyć o rozgałęzionych urządzeniach szpitalnych, koloniach leczniczych itd., w których chorzy znajdowaliby przytułek. Z upaństwowieniem tej pomocy, ku czemu spostrzegamy już tu i owdzie zarodki dążeń, i przy należytym rozwoju takich urządzeń zawód lekarski sam z siebie przestałby istnieć jako rzemiosło prywatne. Atoli jeszcze ważniejszem byłoby urzeczywistnienie w społeczeństwie wymagań hygieny publicznej tj. zdrowych mieszkań i posilnych pokarmów. Bez tego podkładu wszelkie marzenia o regulowaniu doboru pozostaną jedynie mrzonką, niczem więcej.

L.

AUGUST WRZEŚNIOWSKI.

(Wspomnienie pozgonne).

W jego wieku ludzie zwykle jeszcze całą pełnią sił pracują, a on już położył się w grobie, zmęczony długiemi cierpieniami i zabity nieuleczalną chorobą. Ona to, dojrzewając oddawna w jego organizmie, stała się zapewne główną przyczyną, że nieboszczyk mniej dla nauki zrobił, niż jego praca i zdolności obiecywały. Urodził się w Radomiu 1836 r. Po skończeniu gimnazyum, Instytutu szlacheckiego i wydziału prawnego w uniwersytecie petersburskim, jak gdyby szukając właściwej drogi, znalazł ją wreszcie i wstąpił na fakultet przyrodniczy. Z drugim dyplomem uniwersyteckim przyjął obowiązki prosektora przy katedrze anatomii w ówczesnej Akademii medycznej, skąd przeszedł do Szkoły Głównej jako profesor zoologii, którą wykładał później w uniwersytecie warszawskim aż do wysłużenia emerytury (1888). Działalność naukową rozpoczął ścisłemi i gruntownemi badaniami wymoczków. Pewna apatya, częścią mająca swe źródło w słabnącem zdrowiu, częścią w warunkach życia, złamała w nim energię do dalszych tego rodzaju i znaczenia studyów. Oprócz krótkiego podręcznika *Zasady zoologii* ogłaszał już tylko artykuły naukowe i rozprawki w pismach specyalnych, oraz broszurki czysto praktycznego charakteru („O układaniu wyżłów“). Był to umysł stworzony do badań ścisłych, charakter czysty i prawy, a jeżeli czasem wydawał się gorzkim, była to po prostu gorycz choroby. Żegnamy go szczerym żalem.

LIBERUM VETO.

Dwie zbrodnie z charakterem wyjątkowym. — Zamordowanie Gerlachowej. — Kluczyk rozstroju umysłowego. — Niefortunna obrona Brzezickiej. — Gdzie szukać trzeba wytłomaczenia niezwykłych objawów woli. — Straszne ryzyko. — Jubileusz batuty. — Przedsiębiorstwo wynajmu reklamy. — Taniość i wygoda. — Obrazek przyszłości. — Kilka słów o naszej krytyce w *Ateneum*. — Dopełnienie.

Zbrodnia, popełniona przez Pawlaka i Wyrostkiewicza, należy do wyjątkowych u nas; ale zbrodnia, dokonana przez Brzezicką, należy do wyjątkowych w całym świecie. Wyznaję nawet, że chociaż wiele przeczytałem dzieł, zajmujących się kryminalogią, pamięć nie zachowała mi podobnego wypadku. Dojrzałych lub niedojrzałych, zalążkowych Pawlaków i Wyrostkiewiczów, każde społeczeństwo posiada, a jeżeli oni objawiają się bardzo rzadko, to tylko dla tego, że rzadkie są warunki, sprzyjające ich wystąpieniom. Zresztą ci dwaj nasi opryszkowie nie stanowią jeszcze najwyższego gatunku w swym rodzaju. Na zachodzie Europy rabuje kasy i podróżnych, jadących kolejami, osobne, międzynarodowe towarzystwo, które nietylko szydzi z wszelkich zabiegów policyjnych, ale posiada cały arsenał narzędzi umyślnie dla niego wyrabianych do otwierania szaf żelaznych. Gdyby nawet zabójcy Szmita i Kuźnickiego zostali złapani, to wcale nie zapobiegłoby raz na zawsze dalszym podobnym napadom, tylko zwróciłoby wynalazczość innych łotrów w kierunku odmiennych pomysłów. Słowem, mężczyzna dość zwyrodniały czy upodlony, dość silny fizycznie i przytępiony moralnie, oddawna trudnił się i będzie się trudnił rozbojem, dopóki nie znikną i działać nie przestaną w ludziach pobudki do mordów i grabieży. Inaczej z kobietą. W swej organizacyi fizycznej, w naturze duchowej, we wpływach otoczenia i stosunkach życia posiada ona tyle hamulców i powściągów, że chyba wyzuta z tych skrupułów i krępujących warunków rzuca się na drogę zwyczajnej zbrodni. Naturalnie im wyżej stoi w uwarstwowaniu społecznem, a więc im bardziej, jest uwrażliwiona w swoim — że tak powiem — honorze i wydelikacona w uczuciach, tem mniej ulega pokusom rozbójniczym. Jeżeli trudno sobie wyobrazić, ażeby Szmita i Kuźnickiego zabiły w wagonie, wyrzuciły i okradły Pawlakowa i Wyrostkiewiczowa, to prawie niepodobna pojąć, ażeby to uczyniły kobiety, pieszczone w wychowaniu, wykształcone umysłowo i moralnie, a nadto nieznające zdradliwych podszeptów nędzy. Tymczasem Brzezicka, kobieta inteligentna, starannie wychowana, wrażliwa na brutalne wybuchy instynktów ludzkich, żona wysokiego urzędnika kolejowego, matka kilkorga dzieci, zamordowywa Gerlachową dla rabunku w sposób możliwie ordynarny. Wchodzi do jej mieszkania, rozbija jej trzema uderzeniami młotka czaszkę, zadaje jeszcze siedem ran pośmiertnych, myje ręce z krwi, rewiduje wszystkie sprzęty i skrytki, gdy zawiadomiony o niezwykłym hałasie stróż puka do drzwi, ona każe mu przyjść za pół godziny, zabiera kilka tysięcy rubli i ucieka. Przypuśćmy wypadek bardzo możliwy, że służąca z niższego piętra nie zauważyła łoskotu i jęków w mieszkaniu Gerlachowej, że Brzezicka wyszła niedostrzeżona; czy jest na świecie tak przenikliwy agent policyjny, który by na nią zwrócił podejrzenie o zbrodnię, nawet gdyby wykrył jej znajomość z ofiarą? Nie wierzyłby żadnym poszlakom i domniemaniom, szukałby jakiegoś mężczyzny lub co najwyżej jakiejś spodlonej jędzy. I nikt nie mógłby się dziwić jego omyłce. Kobieta bowiem t. z. „wyższej sfery“ może popełnić tysiąc zabójstw dla rozmaitych celów, ale nie dla zwyczajnego rabunku. Jeżeli nie co innego, to przestraszy ją ogrom ryzyka. Bo za nadzieję zdobycia kilku lub kilkunastu tysięcy rubli na co się naraża? Na to, że ją złapią, wtrącą do więzienia, śledztwem rozgrzebią całe jej życie, zostawią samą z myślą o dokonanej zbrodni i z widmem skrwawionej ofiary, wyprowadzą przed sąd publiczny ze sromotnem piętnem, skażą na dożywotnią karę, a przez cały ten czas rosnąć będzie z dnia na dzień jej hańba, która olbrzymią górą zgniecie ją, a zarazem przytłoczy jej męża, dzieci, niewinne a tak okropnie skrzywdzone i może kochane przez nią istoty, rzucające jej przez okna kraty więziennej z każdym ruchem powietrza rozpaczliwe wyrzuty. Uprzytomnijmy sobie piekielne męki Brzezickiej od chwili, gdy z pamięcią i świadomością o tem znalazła się sama w więzieniu, a zrozumiemy szaloną grę, którą ona podjęła. Zdawałoby się, że przelotny błysk myśli o podobnych następstwach powinienby piorunem zdruzgotać w niej najsilniejsze pokusy do zbrodni. Tymczasem nie, inny błysk — nadziei powodzenia oślepił ją.

Jest to rzeczą całkiem naturalną, że wyjątkowe objawy skłaniają ludzi do szukania wyjątkowych przyczyn. Uważalibyśmy przeto za zupełnie zrozumiałą chęć tego lub owego organu prasy wytłomaczenia dziwnej zbrodni jakiemś zboczeniem psychicznem. Tylko nie należy tego czynić tak naiwnie i tak bezmyślnie, jak to zwykle u nas się dzieje. Niektóre pisma nasze dla wszystkich zabójstw i samobójstw z „wyższej sfery“ mają w zanadrzu jedną gotową dyagnozę: rozstrój umysłowy, czyli że — według nich — w tej sferze odbierają sobie lub innym życie jedynie waryaci. Tylko zdrowi na umyśle prostacy mordują siebie lub bliźnich. Znam pochodzenie tej teoryi. Kiedy redagowałem przed kilkunastu laty gazetę codzienną, często odwiedzał mnie ojciec, brat, syn, krewniak samobójcy lub przestępcy i błagał:

— Niech szanowny pan nie podaje właściwej przyczyny wypadku ze względu na...

Względy owe były różne: stosunki rodzinne, majątkowe, chęć zapewnienia nieboszczykowi pogrzebu religijnego itp. Zawsze w takich razach postępowałem jednako: polecałem p. Bolesławowi, prowadzącemu kronikę miejską, ażeby wcale nie zapisywał zdarzenia. Wolałem, ażeby dziennik milczał, aniżeli kłamał lub plótł duby smalone.

Zaledwie Brzezicką uwięziono i jeszcze nie zdołano zbadać, już usłużny dyagnosta Kuryerowy pospieszył z ofiarowaniem jej „rozstroju umysłowego“ i „manii pożyczania — znanej psychiatrom.“ Rzeczywiście istnieje „mania pożyczania,“ znana nie tylo

psychiatrom, ile kapitalistom i lichwiarzom, ale nie prowadzi ona do morderstw, tylko co najwyżej do wystawiania prawdziwych lub podrabianych weksli. Na kogo więc obliczone jest to usprawiedliwienie? Dzieci i prostaczkowie nie będą rozstrzygali o losie przestępczyni, a ludzie rozumni i sędziowie nie łapią się na takie plewy. Nie przeczę, iż Brzezicka może posiadać w swym ustroju psychicznym pewne *wyraźne*, wrodzone lub nabyte, właściwości, które zwróciły jej wolę ku zbrodni; ani na chwilę nie wątpię, że zbrodnia ta, jak wszelki skutek, musi mieć swoją przyczynę, która ją sprowadziła siłą niezłomnej konieczności; ale zdaje mi się, że dla dobra moralności i opinii publicznej reporterzy nie powinniby tak uwijać się ze swym kluczykiem „rozstroju umysłowego," otwierającym wszystkie zagadki kryminalistyczne w pewnej sferze społecznej. A już jeżeli chcą koniecznie zabrać głos obrończy a stać ich na odpowiednią wiedzę, niech porzucą bardzo zawodną dziedzinę obłędu i waryactwa a zajmą stanowisko zwykłej i pewnej teoryi determinizmu. Wtedy nie usprawiedliwią nikogo społecznie i prawnie, ale usprawiedliwią każdego psychologicznie i nie naplotą banialuk, od których już nietylko włosy na głowie obrosłej powstają, lecz na łysej wyrastają. Pewnych plam krwawych nie zmyją — jak powiada Shakespeare — wszystkie wody mórz, miałażby je zmyć reporterska ślina? Nie ma chyba człowieka, któryby nie współczuł bólu męża i dzieci Brzezickiej, któryby nie życzył im jakiejś ulgi, który by nie chciał położyć na ich zranionych sercach kojącego balsamu— ale czyż możemy tego dokazać za pomocą wyszarzanego w rozmaitych wykrętach środka — „rozstroju umysłowego"?

Jeden z czytelników naszych przysyła mi list pełen ostrego sarkania na nowy obchód jubileuszowy "35-lecia batuty," uczczony dziennikarską fanfarą, podczas gdy 30-lecie usług szarytki w szpitalu Dzieciątka Jezus zaregestrowano jako fakt zwyczajny. Według korespondenta, przygrywający w antraktach na czele orkiestry Teatru Rozmaitości lub też do tańca możnym panom zdobywał chleb zbyt lekko, ażeby należało go znowu wieńczyć, gdy zaledwie przed rokiem wyprawiono mu jubileusz. Tymczasem siostra miłosierdzia, która przez 30 lat niosła cierpiącym pomoc i pociechę w niedoli i chorobie, która poświęciła całe swoje życie tej ciężkiej i szlachetnej pracy, jest prawdziwą bohaterką. Wszystko to słuszne, ale jeżeli Leon XIII z faktów spełnionych wywodzi prawa, to czyż my zwyczajni i omylni śmiertelnicy możemy nie ugiąć się wobec siły faktu? Faktem zaś jest niewątpliwym, że wszystko to, co ma najczęstszą styczność z reporterami, staje się przedmiotem naszej czci, podziwu i uwagi. Gdyby szarytka pokazywała jakieś sztuki, po przedstawieniach chodziła na kolacye ze sprawozdawcami — wtedy mogłaby, nie trzymając się wcale systemu dziesiątkowego, a nawet piątkowego, obchodzić corocznie jubileusz — wejścia do zakonu, ogolenia głowy, pierwszej pary trzewików, pierwszego fartucha itd. Ponieważ zaś tak jest i tak dalej będzie, więc naśladujmy papieża i poddajmy się faktowi. Zresztą przedsiębiorczość ludzka już wynalazła i podobno jeszcze skuteczniejsze wynajdzie sposoby zwracania uwagi publicznej w każdym kierunku. Mianowicie chodzi wieść po „Syrenim grodzie," że wkrótce ma powstać u nas agencya, sprzedająca ludziom sławę za bardzo niską cenę. Geszeft pomyślano w sposób bardzo prosty. Jeżeli są tacy, którzy dostarczają nam dziś do domu: mleka, piwa, węgli, nafty itd., dlaczego inni nie mieliby dostarczać nam rozgłosu? Dawniej służąca musiała biedz na odległą ulicę, ażeby kupić kwartę mleka lub butelkę piwa; teraz wszystko jej przyniosą. Podobnej zmianie musi uledz reklama. Proszę tylko zważyć, jak kłopotliwe i kosztowne jest nabywanie tego produktu: trzeba utrzymywać stosunki z ludźmi wpływowymi, wysiadywać z reporterami w restauracyach i handlach win, stracić dużo czasu, pieniędzy i cierpliwości — na co? Na to, żeby w jednym lub dwu dziennikach zaznaczono: „P. X. wyjechał za granicę" lub „nosi się z myślą napisania komedyi społecznej." Wkrótce ma być całkiem inaczej: posyłasz do odpowiedniego kantoru, składasz niewielką opłatę i nazajutrz cały świat wie, że wyjechałeś za granicę lub nosisz się z myślą napisania komedyi. Wypadnie to znacznie taniej i wygodniej, gdyż zjedzenie kolacyi z reporterem na rachunek swej sławy nie należy do konieczności przyjemnych, zwłaszcza gdy szanowny twórca tej sławy lubi długo gadać, ma wielki apetyt i pragnienie. Skorzystają niewątpliwie z tego urządzenia również autorzy i wydawcy, których książki „bez podlania" nie rosną w rozgłosie, artyści, kupcy, posiadaczki świeżych sukien — wszyscy.

Wówczas i p. J. Nowiński, który napisał w *Ateneum* bardzo gruntowny i ciekawy artykuł „o naszej krytyce," będzie miał mniej powodów do skargi, gdyż opinia publiczna zostanie uregulowana w swem łożysku. Autor opracował przedmiot z wielką sumiennością, podłożył nawet pod mikroskopowe szkiełko bakteryo naszego krytycyzmu i odwrócił rozmaite lśniące medale drugą, szpetną stroną, a jednak nie wtajemniczył się całkowicie w sprawę. Tak np. powiada: „...dostrzegłem, iż tygodnik, który mam na myśli, pomijał w ciągu całego roku milczeniem bezwzględnem wszystkie wydawnictwa pewnej firmy, niezależnie od ich treści lub kierunku." Otóż p. N. widocznie nie wie, że u nas są nietylko pisma, które milczą o każdej książce pewnych autorów lub nakładców, ale są także firmy, które pewnym pismom wydawnictw swych nie nadsyłają. Zgodzi się zaś chyba ze mną autor, że żadna redakcya nie jest w stanie kupować wszystkich nowowychodzących książek dla sprawozdań i że chyba nakładca nie ponosi żadnej ofiary dając jej bezpłatnie egzemplarz. My przynajmniej czynimy to stale i najczęściej — daremnie.

Poseł Prawdy.

SPRAWY EKONOMICZNE.

SZKOŁY ROLNICZE.

Z powodu nieurodzaju zeszłorocznego w ostatnich czasach więcej niż kiedykolwiek zwrócono uwagę na brak wykształcenia fachowego śród pracowników rolnych. W stosunku do innych specyalnych zakładów naukowych rolnictwo, zajmujące najwybitniejsze miejsce w przemyśle, najmniej ich posiada (zarówno średnich, jak i wyższych). Właściwie dotąd dwie tylko instytucye dawały możność zdobycia uzdolnienia szerszego w zakresie agronomicznym: Akademia piotrowsko-razumowska i Instytut nowo - aleksandryjski. Pierwszy dotąd ma ograniczony dopływ nowych studentów, drugi dopiero niedawno otwarto ponownie. Wobec tak szczupłego pola dla wyższej nauki agronomicznej zasługuje na uwagę wniosek profesora Zajkiewicza — otwieranie wydziałów rolniczych przy uniwersytetach. Ze względu na taniość i łatwość wykonania myśl ta o wiele jest praktyczniejsza, niż zakładanie oddzielnych akademij. Zdaniem p. Z. dla wprowadzenia w czyn jego pomysłu wystarczy utworzenie tylko dwóch nowych katedr przy uniwersytetach i pól doświadczalnych. Wydziały takie umożliwią dokładniej niż we wszechnicach specyalnych połączyć teoryę w szerszym zakresie z praktyką. Projektodawca słuszną zwraca uwagę na szczęśliwe położenie geograficzne uniwersytetów, w okręgach rolniczych wybitnie różniących się. Obecne zatem siedliska wiedzy wyższej bardzo są dogodne dla kandydatów do nauki agronomicznej, a odpowiednie jej rozmieszczenie może usunąć znamienne zjawisko — zupełny brak wyższych zakładów rolnych na całym obszernym wschodzie państwa, gdzie też najdotkliwiej dały się odczuć klęski i niepowodzenia. Ten sam brak spostrzegamy również w zakresie wiedzy średniej i niższej, o wiele nawet ważniejszej niżeli wyższa dla ogółu pracowników.

W całem państwie jest zaledwie siedem średnich i piętnaście niższych szkół rolniczych. Takie ubóstwo u źródła nauki fachowej wraz z upadkiem ciągłym rolnictwa, zwróciło uwagę władz administracyjnych, które dążą, obecnie do możliwych ułatwień w zakładaniu wszelkich szkół tego rodzaju. Między innemi przystępne dla oficyalistów i drobnych posiadaczów rolnych mają powstać także w Królestwie; niedawno czytaliśmy, zdaje się w jednem z pism prowincyonalnych, że w Łęczycy na ten cel już upatrzono odpowiedni budynek. Ponieważ sprawa ta, jak widzimy, coraz wyraźniej się zarysowywa i prawdopodobnie wkrótce stanie się *obowiązującą* na całym obszarze państwa, pożądanem byłoby rozejrzeć się we wzorach dobrze wypróbowanych za granicą, przedewszystkiem zaś we Francyi, gdzie rząd usilnie się stara o rozwój i uprzystępnienie, możliwie najszersze wiedzy rolniczej. Głównem źródłem jest Akademia (*Institut national agronomique*) dla kształcenia nauczycieli rolnictwa tudzież bogatych właścicieli ziemskich i dzierżawców. Po za tym rozsadnikiem wiedzy fachowej. Rzeczpospolita posiada dziś czterdzieści praktycznych szkół rolnictwa i dąży ku temu, ażeby w niedalekiej przyszłości każdy departament obdarzyć takim zakładem. Służą one dla najliczniejszej — średniej warstwy ludności i przyjmują każdego, kto tylko zapragnie i udowodni wykształcenie elementarne. Wykłady teoretyczne z praktyką prowadzono są prawie jednocześnie, tj. w ten sposób, że lekcye przedpołudniowe unaoczniane są doświadczeniami po południu. Dyrektorowie muszą prowadzić na własne ryzyko gospodarstwo folwarczne przy szkole, czuwać nad całością i rozwojem inwentarza żywego itd. Rzecz prosta, iż we własnym interesie starają się gorliwie wprowadzać wszelkie udoskonalenia techniczne odpowiednio do warunków miejscowych, usilnie śledzą wszelkie postępy w dziedzinie rolnictwa. Dzięki temu gospodarstwa przy szkołach są wzorowo prowadzone a uczniowie przyglądając się dobrym owocom, wielką korzyść odnoszą. Niezależnie od tego rząd francuski popiera tak zwane stacye agronomiczne i laboratorya. Zadaniem ich robienie doświadczeń nad wszystkiem, co tylko jest w związku z rozwojem rolnictwa. Dzięki temu instytucye owe, których pracownicy nie są związani celami spekulacyjnymi, oddają nieocenione usługi. Rolnik nie potrzebuje sam robić kosztownych i zawodnych nieraz prób, stosuje tylko z zupełnem zaufaniem środki wypróbowane i zalecone przez pracownie agronomiczne, jak np. nowe gatunki i odmiany roślin, ich hodowla ulepszona, pasza ze spotęgowaną pożywnością, nowe składniki użyźniające, udoskonalone narzędzia, walka skuteczna z pasorzytami itd. Gospodarz dbały o swe dobro dowie się z tego źródła o składzie swych gruntów i wszelkich środkach polepszenia wydajności. Nadto istnieją we Francyi t. zw. „pola demonstracyjne," których zadaniem jest wykazanie, do jakiej potęgi można doprowadzić ulepszenia w kulturze rolnej, mozolnem doświadczeniem zdobyte przez laboratorya lub stacye. Tu można naocznie się przekonać, jaki nawóz jest najodpowiedniejszy dla danego gruntu i klimatu miejscowości, jakiemi metodami można

osięgnąć najwyższą wydajność; słowem — pola takie zajmują pośrednie miejsce między stacyami i laboratoryami, a gospodarstwem rolnika, dążącego do najtańszych sposobów wytwarzania i największych zysków. Niezależnie od tak obfitych źródeł zdobycia wiedzy fachowej i doświadczenia, francuzi posiadają katedry rolnictwa w pojedynczych departamentach i okręgach; rząd zaś nie żałuje największych sum dla rozwoju tej gałęzi produkcyi i na przyszłość zakreśla szerokie plany. Dzięki temu rolnicy francuscy potrafią dziś z najmniejszej piędzi ziemi wyciągać ogromne zyski i najbardziej jałowe nieużytki zamieniać na glebę urodzajną.

Drobny rolnik francuski nie użyłby na parobka do siebie naszego dziedzica zniszczonych kilku folwarków, a nie uwierzyłby, gdybyśmy podali mu cyfry leżących odłogiem przestrzeni. Jedna tylko gubernia płocka miała w r. 1890 osiemdziesiąt dwa tysiące dwieście morgów nieużytków, całe zaś Królestwo posiada ich 435 tysięcy morgów (w tem drobna szlachta 337 tysięcy, mieszczanie i kupcy 10 tysięcy, włościanie 88 tysięcy). Włościanie czescy w ostatnich czasach dzięki uregulowaniu rzek, osuszeniu błot, użyźnianiu piasków i karczunkom, zdobyli sobie 880 tysięcy morgów urodzajnego gruntu. Nasz lud wszelkie nieużytki, nawet nie wymagające zbyt wielkich wysiłków dla użyźnienia, uważa za przepadłe na zawsze.

O najprostszych sposobach robienia sztucznych kompostów nie ma najmniejszego pojęcia; jedynym u niego środkiem użyźniającym — zwyczajny nawóz z obory, którego najbogatszy gospodarz nie może mieć tyle, iżby mu na cały grunt jego wystarczyło. Czasem więc dokupuje, płacąc wraz z dostawą 2—3 ruble za furę, podczas gdy mnóstwo mierzwy leży bez użytku około jego zagrody i zabudowań gospodarskich. Lud nasz w żaden sposób nie chce się pozbyć przekazanej przez pradziadów rutyny w gospodarowaniu i z głodu przymiera, zbierając trochę żyta, jarzyn i ziemniaków na przekarmienie swej rodziny i trzody z takiej przestrzeni gruntu, która chłopu francuskiemu pozwoliłaby osiągać zyski nie wiele może mniejsze, niż je ma nasz dziedzic sporego folwarku. Ale nie dziwmy się ludowi, skoro szlachta z niewielkimi wyjątkami hołdująca rutynie, nie może nawet w połowie zdobyć tych zysków, jakie by miała przy trochę większej staranności i uwzględnianiu ulepszeń technicznych. Ziemianin woli obmyślać i ogłaszać dziwaczne projekty konwersyi, wyciągać rękę żebraczą do swej instytucyi opiekuńczej, błagać o darowanie długów i liczyć na jakąś pomoc wyższą, która go z toni wyratuje — niżeli rozejrzeć się we własnej gospodarce, starać się o rozszerzenie widnokręgu wiedzy fachowej i przy jej pomocy wyzyskać te źródła dochodu, które dziś lekceważy lub zadawala się małymi odsetkami istotnych zysków, jakieby mu dała wyższa kultura. Nie jego w tem wina całkowita. Ziemianin dotąd ulega poniekąd mniemaniu swych przodków, że nauka dla szlachcica jest zbyteczną. Parę klas wystarczy, resztę uzupełni praktyka i obcowanie z ludźmi doświadczonymi. Tak jest przeważnie dotąd. Zresztą nie brak nam także rolników z wykształceniem uniwersyteckiem, ale taka wiedza, jeżeli właściciel nie posiada uczciwego i specyalnie uzdolnionego pełnomocnika, w gospodarstwie na wiele mu się nie przyda. Zamożniejsi czasem pozwalają na blagę zagraniczną, jeżdżąc niby po naukę do zakładów agronomicznych niemieckich. Większość atoli średnio zamożnych lub wcale niezamożnych rolników, nie mogłaby nawet w kraju kształcić swych synów w zawodzie dziedzicznym, bo szkoły wyższe są odległe i przepełnione. W gorszem położeniu są oficyaliści rolni, dla których nawet średnie i niższe szkoły agronomiczne były dotąd niedostępne. Dlatego też większość pełnomocników, rządców, ekonomów kręci się w ciasnem kółku rutyny, zdobytej praktyką. Miejmy nadzieję, że to się z czasem zmieni, gdy sprawa organizacyi w całem państwie szkół rolniczych przyjdzie do skutku. Pożądanoby byłoby tylko uwzględnianie wszelkich warunków danej miejscowości, gdzie ma szkoła powstać. Zastosowanie bowiem jednolitego programu dla zakładów takich nie przyniosłoby pożądanego rezultatu. Szkoła rolnicza, średnia lub niższa, powinna wyłącznie służyć dla pewnego obrębu terytoryalnego, posiadającego jednostajny klimat i glebę, wymagającą wyłącznych środków dla podniesienia kultury. Zakłady owe, zastosowane jedynie do danej przestrzeni i ściśle związane z jej potrzebami, mogą z czasem przynieść takie owoce, jakie dają szkoły francuskie. Naturalnie, dla ludu, stroniącego od wszelkich nowości, nauka w praktycznych szkołach rolniczych musi być obowiązkową.

Zen. Piet.

PRZEMYSŁ HANDEL I FINANSE.

Z ruchu przemysłowego. W ogniskach przemysłu fabrycznego wzrastają zabiegi około rozszerzenia produkcyi. W Dąbrowie Górniczej zakłady „Huta bankowa“ powiększają znacznie walcownię blachy. Z powodu bowiem znacznych zamówień, otrzymanych z Cesarstwa siła produkcyjna obecnego oddziału fabryki jest niedostateczną. W nowobudującym się oddziale będą ustawione walce t. zw. „uniwersalne,“ służące do wyrobu blach wszelkiej grubości i wielkości, nadto maszyna i przyrządy hydrauliczne najnowszych systemów. Towarzystwo kopalń i hut cynkowych w celu rozpoczęcia eksploatacyi węgla kamiennego od kilku tygodni czyni poszukiwania świdrowe między Dąbrową i Strzemieszycami na własnych gruntach. Po dokonaniu prób, zdaniem specyalistów pomyślnych, przedsiębiorcy utworzą nową kopalnię, posuwając się korytarzami ku „Redenowi,“ gdzie są obfite pokłady galmanu pomiędzy Olkuszem i Sławkowem tudzież huty cynkowe pod Będzinem. Według danych urzędowych ilość węgla wydobywanego w okręgu górniczym Królestwa Polskiego dochodzi do 800 wagonów dziennie, z których 200 idzie do Warszawy, 150 do okręgu łódzkiego, 60 na potrzeby kolei, do Cesarstwa przeszło 150 wagonów, reszta do miast i fabryk na prowincyi. Wogóle ożywienie w przemyśle węglowym r. b. jest bardzo wielkie, przyczyną zaś tego jest zwiększone zapotrzebowanie produktu z kopalń dąbrowskich do prowincyi południowo-zachodnich i do Odesy.

Warszawskie Towarzystwo kopalń węgla i zakładów hutniczych w r. z. miało dochodu brutto rs. 1,017,747, a wydatków 812,008. Z sumy rs. 205,738 zysku czystego postanowiono na odbytem przed kilku dniami ogólnem zebraniu (w Warszawie) akcyonaryuszów przeznaczyć na dywidendę rs. 91,000, tj. 6% od akcyi. Na miejsce zmarłego hr. Zamoyskiego wybrano p. Edwarda Natansona. Kończący urzędowanie p. Leopold Kronenberg wszedł ponownie do zarządu. W kopalniach Towarzystwa wydobyto r. z. 3,632,293 m. ctr. węgla kamiennego.

Po raz drugi odwiedził niedawno ogniska przemysłowe w Królestwie Polskiem p. Bielow, delegat komitetu centralnego Towarzystwa popierania przemysłu i handlu w Petersburgu. Rozwój tutejszej produkcyi fabrycznej p. B. przypisuje wysokiemu poziomowi technicznemu zakładów i umiejętności ich kierowników trafienia do gustu spożywców, ich wymagań i potrzeb. Delegat podczas ostatniej bytności w Łodzi zwrócił uwagę na niewłaściwość obsadzania przez przemysłowców stanowisk majstrów i podmajstrów cudzoziemcami. „Nie starając się poznać charakteru rdzennej ludności fabrycznej (uwagi delegata według streszczenia *Tygodnika kolejowego*), zwyczajów i potrzeb jej, panowie ci stają się przyczyną rozterek pomiędzy pracownikami a pracodawcami i nie przekazują robotnikom swych umiejętności fachowych, które dobrze spieniężywszy tutaj uwożą do *Vaterlandu* lub zatrzymują w rodzinie drogą dziedziczną.“ Z powodu takiego stanu rzeczy pan Bielow postanawia tę sprawę przedstawić Towarzystwu popierania przemysłu i handlu w Petersburgu, z radą ustanowienia ścisłych ograniczeń przemysłowców w przyjmowaniu do fabryk obcokrajowców na wszelkie stanowiska techniczne i administracyjne zwierzchnicze. Zamówienia na łódzkie wyroby wełniane od rozesłanych przed kilku tygodniami agentów nadchodzą obficie, przed terminem zaś wypełniania zobowiązań obstalunkowych wypłaty wpływają dość regularnie. Według doniesień *Tyflis. Wiest.*, fabrykanci łódzcy „masami“ wynajmują statki parowe do przewozu bawełny z Baku morzem Kaspijskiem i Wołgą. Agenci podobno ogromną ilość zakupili tego produktu dla Łodzi przeważnie w Samarkandzie i Bucharze. Urodzaj bawełny w roku ubiegłym był wielce pomyślny.

Jesiotry. Połów jesiotrów na Wiśle między Ciechocinkiem a Nieszawą jest znacznie mniejszy, niż w r. z. Przeciętnie tygodniowo 100 pudów zaledwie tej ryby idzie do Warszawy. Po wprowadzeniu obecnie letniego rozkładu jazdy większe transporty skierowane będą przez Ciechocinek. Wyrób kawioru z ikry jesiotrów dokonywany jest na miejscu; produkcya tygodniowa dochodzi do dwóch pudów.

Przewóz węgla. Departament kolejowy, pragnąc zapobiedz przewożeniu węgla kamiennego do Pabjanic przez Rokiciny, zmienił taryfę kolei Wiedeńskiej w taki sposób, iżby przewóz z kopalni okręgu sosnowickiego kosztował tyleż do Rokicin, co i do Koluszek. Skutkiem tej zmiany jednocześnie podniósł się koszt przewozu ze Strzemieszyc i Dąbrowy do Łodzi o 0,18 kop. od puda. Z tego powodu fabrykanci łódzcy wystąpili z podaniem o zniesienie podwyżki. Obecnie departament prośbę uwzględnił i wciela do „Zbioru praw“ nową taryfę specyalną, przywracającą poprzednią stawkę.

Z Szydłowca. Okolice obfitują w bogate pokłady piaskowca, które stale zatrudniają kilkaset robotników, a przemysłowcom przynoszą znaczne zyski. Wyroby z piaskowca rozchodzą się nietylko w Królestwie Polskiem, ale na dość znaczne zamówienia wysyłane są także do Moskwy. Bogate pokłady rudy żelaznej eksploatuje fabryka żelaza Starachowicka na folwarku Chustki. Kilkuset włościan ma niezły zarobek przy wydobywaniu i odstawianiu rudy do Jastrzębia, stacyi kolei Dąbrowskiej. Wogóle w okolicach Szydłowca leżą obfite pokłady rudy żelaznej, piaskowca, glinki ogniotrwałej, torfu, a nawet i soli; wszystko to dotąd nietknięte czeka na obrotnych przedsiębiorców... z zagranicy.

Fabryki żelaza (piec wielki i giserniа) powstałe przed rokiem w Emilczynie (gub. wołyńska), ściągają robotników fachowych z Królestwa Polskiego, szczególnie z gub. radomskiej. Na hutników i giserów jest znaczny popyt, którzy też chętnie spieszą do nowego ogniska przemysłu fabrycznego.

Kredyt krótkoterminowy. Komitet ministrów zatwierdził projekt kredytu krótkoterminowego dla właścicieli młynów. Odpowiedzialność kredytowa każdego z przedsiębiorców oznaczona będzie przez wydział dyskontowy banku państwa, poczem dla oddzielnych właścicieli młynów otwarty będzie kredyt z banku pod sola-weksle z terminem 9-miesięcznym.

— *Warsz. Dniew.* donosi: „Robotnicy w fabryce przędzalniczej Winera (w Zduńskiej Woli) w liczbie około stu porzucili robotę i tłumnie chodzili po mieście, domagając się podniesienia wynagrodzenia za pracę; nadto, żądali od tkaczów w domach pracujących, aby porzucili zajęcie. Nazajutrz przybył do Zduńskiej Woli naczelnik powiatu i nakłonił robotników do pracy.“

Zwolnienie od kary. Zatwierdzono uchwałę komitetu ministrów o zwolnieniu Towarzystwa kredytowego

ziemskiego od kary pieniężnej za nieopłacony podatek stemplowy od sumy eminotowanych listów zastawnych. Karę, rs. 354,947, nałożyła izba skarbowa w Warszawie, temu zaś postanowieniu założył protest do ministeryum skarbu pełnomocnik Towarzystwa w Petersburgu, adwokat Malhomme.

Z rynku.

Ceny bieżące. Warszawa 18 maja. W ostatnich dniach tygodnia na targach nie było zbyt wielkiego wahania się w cenach zboża. Za żyto wyborowe (targ zbożowy na Pradze) płacono 110—113 kop., za średnie 106—109, za zwyczajne 102—105 kop. Owies wyborowy nabywano po 92—96, średni 84—90, pospolity 75—82 kop. Za grykę 106—110, za jęczmień 75—95, stosownie do gatunku. Kasza jaglana nie miała zbyt wielkiego popytu, ztąd ceny niższe, względnie do dobroci po 122—136 kop. Kukurydza po 66—68 kop. W magazynach tranzytowych na Pradze (według notowań wtorkowych) ceny zboża wynosiły: pszenica 114 do 127 kop. za pud, żyto 102—112, jęczmień 80—98, owies 80—96, kasza jaglana 123—140, gryczana 170—185, groch 118—125 kop. za pud. Na placu Witkowskiego (dn. 17%) pszenicy wystawiono na sprzedaż 800 korcy. Za wyborową płacono po 8,50, za białą 8,40, pstra wcale nie miała pokupu. Żyta ofiarowano 60 korcy i nic nie sprzedano; za to owies miał wielkie powodzenie, płacono po 2,95—3,40, stosownie do gatunku. Za pud siana płacono 35—40 kop., za pud słomy 25—30 kop.

Cukier. Na rynku cukrowym na chwilę nieprzerywana cisza; w tygodniu ubiegłym nie dokonano żadnej większej tranzakcyi. Rafinada bardzo słaby ma popyt. Więksi odbiorcy zajęli pozycyę wyczekującą i nie chcą robić żadnych zykupów, mniejsi zaś ograniczają się do *minimum*, biorąc cukier tylko w małych ilościach, potrzebnych na spożycie miejscowe. Notowano: Hermanów i Łyszkowice w żądaniu po rs. 3,15, kupowano przeważnie „Ostrów," „Walentynów," „Guzów" po rs. 3 kop. 25. Za kilka wagonów kostek firmy „Konstancya" zapłacono po rs. 3,25. Za mączkę w pełnych ładunkach płacono po rs. 2,75 do 2,77½ za kamień 24-funtowy.

Ceny okowity w Warszawie: brutto z potrąceniem 2% hurtowa w 100° 11 rs. 36 k., 78°—8 rs. 86 k.. szynkowa w. 100°—11 rs. 52 k., w 78°—8 rs. 98 k. Netto bez potrącenia: hurtowa 100°—11 rs. 15 k., 78 —8 rs. 69 k. szynkowa w. 100°—11 rs. 30 k., w. 78°—8,81.

KRONIKA.

rawy społeczne. Jak donosi *Warsz. Dniew.* ko- opracowująca kwestyę zrównania praw męż- zi i kobiet do spadkobrania przyjęła za zasadę nie zupełne, lecz względne tylko równouprawnienie, a nadto zapowiedziała zupełne zniesienie pewnych właściwości prawa spadkowego w guberniach małoruskich tudzież w Królestwie Polskiem i kraju zakaukazkim.

— Zatwierdzono Towarzystwo zwolenników homeopatyi w Warszawie.

— Kolonia czeska w Warszawie postanowiła założyć Towarzystwo pomocy dla swych rodaków, na wzór istniejących u nas stowarzyszeń: francuskiego, niemieckiego i szwajcarskiego.

— Rząd angielski za pośrednictwem konsulatu ostrzega żydów chcących wyemigrować do Wielkiej Brytanii z Królestwa, że nie znajdą tam wcale zarobku, gdyż nawet miejscowa ludność częstokroć poszukuje go bezskutecznie.

— W Krakowie zawiązuje się nowe stowarzyszenie pomocników aptekarskich pod godłem *Unitas*.

— W olbrzymim zakładzie drukarni państwowej w Wiedniu pracownikom zapewniono emeryturę według norm obowiązujących dla urzędników. Wyrobnicy również otrzymali prawo do unormowanej płacy. Osobna komisya dyscyplinarna rozstrzygać będzie wszelkie sprawy sporne, kary, wydalania.

Szkoły. Pp. Wincenty Brożek i Michał Dzierliński złożyli do ministeryum dóbr państwa podanie o koncesyę na niższą szkołę ogrodniczo-rolniczą w gub. warszawskiej lub radomskiej. Kurs trzyletni, pierwszy wspólny, dwa ostatnie — specyalne, albo ogrodnicze, albo czysto rolnicze. Półrocze zimowe poświęcone będzie wykładom teoretycznym, letnie — praktycznym. Program na kursie wspólnym obejmuje: religię, języki: ruski, polski, niemiecki i francuski, arytmetykę, geometryę, geografię, fizykę, chemię, nauki przyrodzone i rysunki. Na kursie rolnym: uprawa ziemi, hodowla inwentarza, początki weterynaryi, rachunkowość i przemysł rolniczy. Na specyalnym ogrodniczym: kwiaciarstwo, warzywnictwo, owocarstwo i budownictwo ogrodnicze. Uczniowie będą przyjmowani w wieku od lat 14 do 18, ze świadectwem ukończenia dwuklasowych szkół miejskich i wiejskich, muszą zamieszkać w internacie szkolnym i opłacać rocznie najwyżej 180 rubli.

— Z rozporządzenia ministra oświaty w okręgu naukowym dorpackim egzaminy na stopień nauczycieli prywatnych (elementarnych i domowych) poczynając od 13 stycznia r. 1893 odbywać się będą wyłącznie w języku ruskim.

— *Praw. Wiest.* zamieszcza rozporządzenie o utworzeniu w gimnazyach żeńskich w okręgu naukowym warszawskim posad etatowych nauczycieli języka francuskiego i niemieckiego z pensyą 900 rubli. Posady mogą być obejmowane przez kobiety.

Sprawy kolejowe. Zatwierdzono przepisy, określające kary dla służby na kolejach w czasie wojny. Zamiast uwolnienia od służby — zamknięcie w więzieniu od czterech do ośmiu miesięcy, zamiast usunięcia z posady — kara więzienia od 2—4 miesięcy, zamiast innych kar — degradacya.

— *Kuryer codz.* donosi, że dyrektorem kolei Terespolskiej mianowany został Izmaiłow, dotychczasowy zaś dyrektor, p. Gnoiński, przechodzi na Wiedeńską w miejsce opuszczającego służbę inżeniera Sulikowskiego. Tej ostatniej wiadomości nie wierzymy.

— Towarzystwo kolei Riazańsko-Kozłowskiej zmieniło nazwę na Riazańsko-Uralską i wzięło w dzierżawę kolej Kozłowsko-Saratowską.

— Z dniem 15 b. m. wprowadzono nową taryfę dla bezpośredniego ruchu osobowego między Wiedniem, Krakowem, Lwowem, a stacyami kolei Południowo-Zachodnich: Elizabetgrad, Kiszyniew, Kijów, Odesa przez Podwołoczyska. Ceny jazdy na szlakach austryackich niższe o ¼ dotychczasowych, natomiast zniesiono bezpłatne przewożenie 25 klg. pakunku.

Komunikacye wodne. Komitet ministrów wydał w tych dniach koncesyę na utworzenie nowego Towarzystwa żeglugi, które przewozić ma pocztę i towary pomiędzy Rosyą europejską a Chinami, Indyami, Japonią, Koreą i Syberyą wschodnią. Towarzystwo otworzy kredyt dla osób wysyłających towary. Kapitał zakładowy wynosi 6,000,000 rs. podzielony na 12,000 akcyj, każda po 500 rs.

Wystawy i Zjazdy. Komitet Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie postanowił „nieodwołalnie" urządzić doroczną wystawę nasion i produktów rolniczych w styczniu r. p.

— Ministeryum dóbr państwa przeznaczyło rs. 70,000 na urządzenie ruskiego oddziału rolniczego na wystawie w Chicago.

— Zjazd prawników i ekonomistów w Poznaniu odłożono do roku przyszłego.

Zmarli. Adam Malinowski, w Warszawie, malarz.

— Ludwik Wiesiołowski, malarz, w Warszawie. Malował przeważnie obrazy duże. Odznaczył się również jako pedagog, twórca pierwszej w Warszawie szkoły malarstwa dla kobiet.

— Antoni Kolnarski, autor artykułów dziennikarskich z dziedziny ekonomii i statystyki, zmarł w Warszawie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

W. H. M. Dodatek mamy na długo zajęty, a obcych wydawnictw nie podejmujemy, gdyż wbrew spostrzeżeniu Pańskiemu książka poważna nie zwraca dziś kosztów nakładu.

P. Aug. Wr. w Wilnie. Niestety, nie można.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 8 Мая 1892 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.